MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 12. WARSZAWA, 22 MARCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

WCZORAJ A DZIŚ

KORDJAN I CHAM

„Grzeczność tych sobie praw nie rości,
By zrównać męstwu lub świętości,
A przecie twierdzę z doświadczenia,
Że jest w niej coś z Bożego tchnienia".
Hilary Belloc.

I

KIEDY „Podkomorzy", człowiek epoki przedwojennej, epigon *ancien régime*'u sprzed „Wielkiej Wojny" napoleońskiej, wspomina rzewnie dawne czasy, „uczące żyć z ludźmi i światem" i sławi grzeczność ich, co „nie jest nauką łatwą ani małą", przypominają nam się powyżej zacytowane słowa, słowa człowieka innej epoki powojennej, epigona innej „Wielkiej Wojny", wspominającego też zapewne po swojemu „dawne dobre czasy" i sławiącego ich grzeczność, w której jest „coś z Bożego tchnienia".

Inny znów Anglik współczesny, Gilbert Keith Chesterton, pamiętający dobrze epokę przedwojenną, „wiktorjańską", z której zlekka prześmiewa się kolega jego Galsworthy w swojej „Sadze rodu Forsytów", uznaje także wysokie walory tej legendarnej już dla dzisiejszego świata *courtesy*, tej *cortesia* w sensie najlepszego humanizmu, tej *urbanitas*, znanej już i cenionej w starożytnej Romie.

To też, pisząc o świętym Franciszku, nie omieszkał Chesterton podnieść, jako jedną z naczelnych cech charakterystycznych swojego bohatera, że „uprzejmość spływała z postaci jego już na pierwszy rzut oka nakształt jakgdyby fontanny na tym czy owym słonecznym placu italskim".

II

Kordjan nasz romantyczny miał wiele wad, plątał się i pętał niezawsze potrzebnie po Montblancach i Watykanach, kończył z Norwidem w przytułkach, a z Mickiewiczem na chybionych wyprawach, ale urok miał niesamowity, dziedziczny, w spadku po księciu Józefie czy Beniowskim, po pani Walewskiej czy księżnej generałowej.

Urok ten odczuwali cudzoziemcy: Bourget w „Cosmopolis", przedstawiając „Górkę"; Cherbuliez w swojej powieści, przedstawiając „Bolskiego"; Balzac, kochając się w pani Hańskiej; pani Sand, kokietując Szopena; nawet w powieściach dla dzieci (pani de Ségur) wałęsają się sympatyczne polskie niedołęgi i trzeba była dopiero zjadliwego *furor judaicus*, by spłodzić trójcę potwornych Sarmatów: Warszlabski, Krapuliński i Sznabelewopski.

III

W zimie z r. 1918 na 1919 spotkałem w Warszawie, wracając z Zachodu, autora najlepszej jak dotąd monografji o Wyspiańskim, który kategorycznie mi zapowiedział—na otwierający się właśnie wtóry okres niepodległości — „schamienie się" kulturalne Polski.[1])

Wystarczy przejść się człowiekowi przedwojennemu ulicą wielkomiejską, ażeby z błahych objawów zewnętrznych zdjagnostykować zmianę, jaka zaszła w obyczajach podczas wojny. Czy przed nią zdarzało się kiedykolwiek, aby co drugi przechodzień, krocząc zamaszyście ulicą, trącał wyprzedzającą go osobę i to bez słowa usprawiedliwienia? Czy mogło zdarzyć się kiedykolwiek, by, jak to zaobserwowano niedawno na dworcu warszawskim, śpieszący podróżny szturchnął mocno jakąś panią i zamiast: „przepraszam" krzyknął: „psia krew". Rycerskie obyczaje okopów?[2])

---

[1]) Uważam, że wolno jest pisać o upadku „klas wyższych" Polski szlacheckiej czy ziemiańskiej, tylko jeżeli akcentuje się równocześnie to „schamienie", co na jej miejsce przyszło.

[2]) Cześć i chwała tramwajom warszawskim, że wprowadziły na osobnych tablicach poglądowe lekcje *savoir vivre*'u!

Idąc tą samą ulicą, nieraz z architektury jej dowiemy się również o triumfach *„griaduszczago chama“*. Trafia się czasem szlachetna fasada Mączeńskiego (Ministerstwo Oświaty), lub interesujący pomysł Pniewskiego (pałac Becka), lub chociażby nowe lotnisko, zadziwiające elegancją w nowoczesności, ale ileż zato „Banków Gospodarstwa”, ileż potwornych „kiepurowatości” w guście krynickiej *„Patrii“*, prawdziwych cymelij stylu *nouveau riche?*

A w duszach? Uderza nawet u tych, u których skądinąd przypuszczać by należało głębsze życie wewnętrzne, brak zupełny owej *cortesia*, którą tak w świętym Franciszku podziwia właśnie Chesterton. A poza tem — autoasymilacja „Kordjana” do gustów „chama”: widzimy wszak niejednokrotnie subtelnych skądinąd literatów, akomodujących się potulnie — i popłatnie — do gustów wszelakich barbarzyńców.

IV

Czy możliwe więc i wskazane jest wskrzeszenie „Kordjana” i przeciwstawienie go triumfującemu „chamowi”, czy—inaczej mówiąc—na czasie jest renesans romantyzmu?

Przy całem uznaniu dla walorów klasycyzmu, którego dzisiejsza „młodzież (także) się zrzekła”, przy całym podziwie dla ewolucji klasycystycznej takiego Goethego, przy błędach — z drugiej strony — epoki romantycznej, które we Francji wytknęli Lasserre i Maurras, u nas zaś „Stańczycy”, cóż ja na to poczmę, że w „energetycznej“ epoce Itala Balba, Becka i Goeringa, coraz nam jest tęskniej za „kontemplatywną” epoką Cezarego Balba, księcia Adama i Goerresa.

Kto czytał „Mnichów” wielkiego romantyka Montalemberta, ten wie, że ten polityk — przyjaciel Polski w złej doli (zapomniany dziś przez nią doszczętnie)—inaczej pojmował swój zawód polityka-historjozofa, niż dzisiejsi politycy-antytradycjonaliści:

„Zanurzając się“—pisał on mianowicie w połowie wieku XIX-go — „często po długich przerwach i ciężkich zawodach życia publicznego w akta i pisma (świętych Pańskich), zaświadczyć muszę, że... oni jednali mnie znów z ludzkością, objawiając mi świat, gdzie zrzadka tylko natrafiałem na egoistów, kłamców, służalców i niewdzięczników... Z ksiąg ich zrozumiałem, jak i dlaczego wielkie korporacje i kolejne pokolenia uczciwych ludzi mogły się były uchować i żyć w równym dystansie od wyuzdanej wolności, jak od wstrętnego także serwilizmu, co to charakteryzują na przemiany nasze społeczeństwa nowoczesne, w których jednostka, czując dobrze, że jest niczem, że nie ma ani korzeni w przeszłości, ani wpływu na przyszłość, kładzie się plackiem przed bożyszczem chwili, gotowa jutro bożyszcze to zwalić, zdradzić je i zapomnieć o niem”.

Tak mówił — słusznie — „Kordjan” francuski, a raczej „hrabia Henryk” w Wandei katolickiej o tarzającym się w bałwochwalstwie dyktatur „chamie” — sto prawie lat temu.

II. DWÓR NA CENZUROWANEM

I

Z głębokiem zainteresowaniem przeczytałem w jednym z ostatnich numerów „Myśli Narodowej” rozważania p. Karola Stefana Frycza p. t. „Przeciętność jako ideał...” Stanowią one konkluzję pożądanej i pouczającej dyskusji, a zarazem idą po linji własnych moich długoletnich już dociekań, tyczących się—jak się wyraża autor—„niedociągnięć góry społecznej”.

Zgłaszam na wstępie zasadniczą zgodę na twierdzenie p. Frycza, że „źródłem (tradycji dla wszystkich warstw i warstewek naszego narodowego etosu, którą te warstwy i warstewki rozmaicie przerabiają) jest dwór polski i z niego wszyscy jesteśmy, na niego więc ostatecznie spada, w teorji, wina dnia dzisiejszego”.

Podzielam ten aksjomat pana Fryczowy, ponieważ kilkanaście dni temu ukończyłem właśnie większą pracę, przeznaczoną na upamiętnienie jubileuszu warszawskiej „Gazety Rolniczej” p. t. „Rola ziemiaństwa w dziejach Polski”. Przebiegłem tedy myślą i piórem roczniki naszej *gentry*, od jej genezy średniowiecznej poprzez „złoty wiek” Zygmuntowy, który był zarazem i jej „złotym wiekiem”, poprzez dwa następne stulecia rozłamane pomiędzy trud krzyżowy Żółkiewskich, Czarnieckich i Sobieskich, a namiętne „zbieractwo” różnych Lubomirskich, Potockich i Branickich, poprzez niesławną—wraz z resztą narodu—śmierć rozbiorową w Radomiu, Targowicy i Grodnie, aż do nowego wyzwolenia wtórej „genezis z ducha”—ducha Czartoryskich i Krasińskich, Lubeckich i Wielopolskich, Zamoyskich i Potockich (Andrzejów).

Niechże więc „dwór polski” nie ma pretensji, że siedzi na cenzurowanem, i że się na nim przymierza krój szat tamtych Tytanów ducha szlacheckiego.

II

Idźmy dalej śladem rozważań p. Frycza. Oto co czytamy m. in. w wymownem jego *résumé*:

„Kazuistyka sumień ludzkich jest niewyczerpana w wykrętach i ludzka niedoskonałość wymyśla zawsze jakiegoś konia trojańskiego, na którym oszukańczo wjedzie do niezdobytej twierdzy ideałów. Tak samo stało się z tym ideałem, jaki wypiastował dwór polski. Był zbyt górny, więc ściągnięto go na dół; tak jak go dzisiaj rozumie nasza góra, jest on zupełnie wypaczony, ujęty wyłącznie jako wygodna recepta przeciętności. Przeciętność, i to egoistyczna przeciętność — oto co dzisiaj urabia „dwór polski”... Gdy chodzi o... (jego) ideał... jest to ideał świętego spokoju...”

Mając w najbliższej rodzinie przykłady daleko posuniętego heroizmu życiowego (wspomnę chociażby o znanym czytelnikom „Myśli” z norwidowych studjów Wasilewskiego dziadzie macierzystym, Władysławie Wężyku), pełen sam jestem, *von Haus aus*, zastrzeżeń i nawet antypatji względem trafnie przez p. Frycza zdjagnostykowanego „ideału”. Podkreślam przytem trzy razy, że nie jest to ideał specyficznie szlachecki, ziemiański, „saski”, że i w dzisiejszej dobie wyzwolonej Rzeczypospolitej krzewi się on bujnie też po miastach, w mdłych pokładach skołtuniałej biurokracji i przyziemnego mieszczaństwa, wszelakiego słowem gatunku „filisterji”, którą tak cięto scharakteryzował poeta niemiecki:

Sieh da! hier sitzt ein Philister,
Es ist so ein Vieh illustre,
So ein fader, fahler, trister!

III

Ale *noblesse oblige* — obowiązuje rasa, choć przeszkadza środowisko, zwłaszcza zaś — moment dziejowy. Ściąga na dół ideał ów do „bruku” środowisko demokratyczne, ale tamuje wszelkie rozpędy, nakłada kaganiec na mowę — gniot śru-

by podatkowej. Co wolno było „wojewodzie“ szlacheckiemu jeszcze przed laty dziesięciu kiedy odwaga cywilna nie uchodziła za szarżę na „kulomioty“ i druty kolczaste, to już nie przystoi za dni dzisiejszych skoro każdy starosta, każdy urząd skarbowy, komornik czy egzekutor działać mogą jako regulatorowie sumień i reformatorzy intelektów.

Teolog by w tem jednak miejscu wywodów naszych powiedział: „*distinguo*“. Inna jest bowiem odpowiedzialność ziemian tych, chodzących niemal za pługiem, pilnujących gorliwie roboty gospodarskiej, zaznających wiejskich jedynie wczasów czy też kłopotów, a inna — wielmożów, rezydujących przeważnie w miastach, mających koneksje i w innych stolicach europejskich, mogących się zatem od lat zorjentować trafnie w ogólnem położeniu, wolących wszakże *contra spem et veritatem* — schlebiać „widzimisiom“ swoim, rankorom i indywidualnym, a przelotnym pożytkom, jak iluzji naprzykład, że zyskuje się wpływy w rządach, delegując do nich co najmarniejsze nieużytki swojej sfery.

IV

„Święty spokój” — złote są te dalsze słowa p. Frycza — to bardzo charakterystyczne, znaczy to, że spokój jest literalnie największem dobrem i że niema ceny, której by nie warto za niego zapłacić. A że w przyziemnem rozumieniu spokój zacieśnia się w naszym tylko kątku i prosta stąd droga do sobkostwa... z takiego opacznego i małostkowego pojęcia spokoju wypływa większość naszych wad narodowych, (a) prawie wszystkie dadzą się ująć jako pochodne tej mieszaniny lenistwa z małodusznością. Ja zwrócę tu uwagę tylko na jedną rozpanoszoną nad wyraz, a najszkodliwszą, jeśli chodzi właśnie o społeczeństwo— o brak odwagi cywilnej.

Brak odwagi cywilnej, to nic innego jak unikanie walki, jak uchylanie się od czegoś, co mogłoby zamącić nam spokój, mogłoby zmusić nas do działania, do wyjścia z wygodnej inercji, to lęk przed konsekwencją i ruchem, obawa narażenia się, naruszenia cudzego spokoju, bo nasz wtedy byłby zagrożony—to dobrowolne upodlenie się dla „świętego spokoju”.

Cieszę się, że przedstawiciel młodego pokolenia tak dotkliwie napiętnował tutaj stan rzeczy, na który cierpimy nie od dzisiaj.

Pamiętam bowiem, jak nie dzisiaj, ale przeszło dziesięć lat temu, prowadząc robotę organizacyjną w gronie trzystu blisko ziemian i redagując biuletyn tej organizacji, zamieściłem w nim między innemi recenzję z broszury Józefa Piłsudskiego p. t. „Rok 1863” (ze względu na zawartą w niej dosyć przychylną ocenę działalności margrabiego Wielopolskiego) i... musiałem się, w łonie krakowskiego „Związku ziemian”, nasłuchać wyrzutów za to, a zwłaszcza za to, że w recenzji mojej autora tytułowałem nieopatrznie „marszałkiem”. A dzisiaj...

Dzisiaj nie pora się oburzać na Marszałkowi ducha winną „mdłą panienkę”, że kolenduje fałszywie, gdy w poważnym nekrologu pióra ziemiańskiego, poświęconym pamięci tegoż Marszałka, znaleźliśmy wzmiankę o... chrześcijańskiem przebaczaniu uraz. Wczorajsze Szawły, co dla „pana Józefa” nie miały słów potępienia, stawszy się Pawłami, przesadzają zaiste w zwykłej neofickiej gorliwości [4])

---

[4]) Wskażę też tutaj na zachowanie się redaktora pewnego ziemiańskiego pisma poznańskiego, który niedawno, w chwili uwięzienia przedstawiciela znakomitego rodu ziemiańskiego, nie miał nic śpieszniejszego do roboty, jak zaatakować go w swoim organie.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

RZECZY TAK PROSTE

Jeden z najbardziej niestrudzonych i najbardziej zdecydowanych propagatorów ideologji monarchistycznej u nas, p. Leszek Gembarzewski nadesłał nam zamieszczone poniżej uwagi. Drukujemy je, jako wyraz indywidualnych poglądów autora, jako głos w dyskusji, rozpoczętej opublikowanym niedawno na temże miejscu artykułem p. Henryka Eysymontta p. t. Wizja Polski Wielkiej“.(Red.)

KAŻDE społeczeństwo, aby pozostać, utrzymywać swój byt i rozwijać się musi korzystać nietylko z materjalnych okoliczności, utrzymujących więź społeczną, ale także mieć pewien zasób pojęć ogólnych i ogólnie przyjętych z zakresu moralności, polityki, ustroju społecznego i gospodarczego. Istnienie wspólnego światopoglądu jest warunkiem koniecznym nietylko dla społeczeństw, narodów, ale oczywiście tembardziej dla państw, tych konkretnych form organizacji politycznej wielkich mas ludzkich. Jeżeli społeczeństwo, jeżeli państwo opierać się musi na powszechnie panującym **światopoglądzie**, to wyrazem tego światopoglądu są **instytucje**, urządzające stosunki moralne, polityczne, społeczne i gospodarcze. To, co powiedzieliśmy, wyrażone w prostej formie, ma charakter truizmu, ale ten „truizm” doprowadza do konkluzyj, które bynajmniej nie są w obecnych czasach powszechnie uznanemi prawdami.

Cywilizacja, zwana zachodnio - europejską, przedstawia określony światopogląd, który był tworzony, broniony i rozwijany przez określone instytucje. Wytworzony w średniowieczu światopogląd zachodnio-europejski, który doszedł do *apogeum* w epoce odrodzenia katolickiego w wieku XVII, to światopogląd spirytualistyczny, hierarchiczny (antyrównościowy), organiczny, oparty na dwu zasadniczych fundamentach: **tradycji i krwi**. Temu światopoglądowi odpowiadały instytucje; w dziedzinie moralnej instytucje religijne (Kościół katolicki), w dziedzinie politycznej monarchja dziedziczna, w życiu społeczeństw ustrój wyraźnie zróżniczkowany, w życiu gospodarczem ustrój korporacyjny. Taki światopogląd, takie instytucje przedstawiały cywilizację europejską, się-

gając korzeniami przez chrześcijaństwo i naukę prawa do starych cywilizacyj wschodnich, do Grecji i Rzymu, i utrzymywały się mniej więcej bezspornie do drugiej połowy XVIII-go wieku. Zacięte i wielowiekowe wojny, zbrodnie i przewroty, przekazane nam przez dzieje do W. Rewolucji Francuskiej, nie miały na celu zastąpienia wyżej określonego światopoglądu nowym, lecz, przeciwnie, dokonywane były z hasłem lepszego, przypuszczalnie prawdziwszego realizowania światopoglądu, opartego na tradycji i krwi.

Dopiero filozofowie XVIII-go wieku, a potem „bohaterowie" Wielkiej Rewolucji i napoleońskiego cesarstwa stworzyli nowy zespół pojęć ogólnych, nowy światopogląd, stojący w całkowitej negacji do wszystkich postulatów tradycyjnej cywilizacji zachodnio-europejskiej. Dawne pojęcia i dawne instytucje przewrót wielkorewolucyjny chciał po raz pierwszy zastąpić innemi pojęciami i innemi instytucjami. Zamiast krwi i tradycji światopogląd rewolucyjny wyprowadza wolę ludu, mającą się wyrażać w życiu społecznemi państwowem przez przez wybory, w życiu moralnem areligijnością instytucyj politycznych i społecznych, w życiu gospodarczem przez zniesienie korporacyjnego ustroju gospodarczego.

Zamiast krwi i tradycji fundamentem ideologji wielkorewolucyjnej, zwanej popularnie także demokratyczną i republikańską, są hasła: woli i równości. Z powodu swego charakteru abstrakcyjnego, nieodpowiadającego naturze społeczeństw europejskich, światopogląd wielkorewolucyjny, negatywny i atomistyczny, doprowadził do urzeczywistnienia się założeń wielkorewolucyjnych w dwu bardzo różnych formach: liberalno-anarchicznej i kolektywistyczno-stadowej i do zapanowania ciężkich form przymusu i braku ochrony dla osobowości jednostkowych i zbiorowych. Anarchję liberalną przedstawia nowoczesna republika burżuazyjna, np. Stany Zjedn. Am. Półn. i Trzecia Republika Francuska; stadowy kolektywizm reprezentuje Związek Sowieckich Republik Socjalistycznych. W obu tych typach państw panuje przymus: w ustrojach demoliberalnych jednostka wydana jest na łup plutokratów, zaś w ustroju socjalistycznym staje się ona łupem biurokracji państwa kolektywistycznego. Każda z tych sytuacyj jest rezultatem jednakowych założeń ideologicznych, gwałtem narzucanych życiu; materjalizm i atomizm, teorja woli i hasło równości są fundamentami republik demoliberalych i sowieckich. Życie wymaga jakiejś koordynacji, organizacji i wskutek tego nieżyciowe doktryny przy próbach realizacyjnych doprowadziły w jednych krajach do rządu ukrytych klik (Francja — rządy plutokracji, masonów i żydostwa), a w innych krajach do niezamaskowanej tyranji. Ciągłe wrzenie albo martwota, ukryta albo niczem nieosłonięta tyranja — oto alternatywy pod panowaniem światopoglądu, który w skróceniu nazywamy wielkorewolucyjnym.

Dotychczasowe wysiłki reformistyczne są w większości wypadków (Niemcy, Portugalja) dalszemi wykolejeniami, gdyż nie chcą zająć stanowiska logicznie negatywnego wobec ideałów W. Rewolucji. Ateistyczna i republikańska konstytucja portugalska Salazara i hitleryzm stadowy, niwelujący odrębności regjonalne, nawracający do wyimaginowanej zamierzchłej przeszłości z przekreśleniem bliższej i dalszej tradycji, są wykolejeniami, oddalającemi prawdziwą rewolucję narodową. W nacjonal-socjalizmie niemieckim, który nic nie skonstruował w dziedzinie społecznej i gospodarczej, niezwykle niebezpiecznym elementem jest kult jednostki. Odradzające się przez powrót do ideałów krwi i tradycji narody muszą opierać się na instytucjach, wiążących przez krew i tradycję całe pokolenia, a nie na „wielkich ludziach", półbogach jednego pokolenia. Już dosyć tych nadludzi, bohaterów, których niby dzieje jeszcze nie znają; to pycha, hypnoza i przemoc fabrykują takie nadludzkie wielkości. Demoralizacja jest owocem rządów nadludzi.

O cóż chodzi, jakie zagadnienie stoi przed tymi, którzy chcą wyjść z kłębowiska sprzeczności? Chodzi o rozumne połączenie autorytetu z wolnością, rozumne skojarzenie koniecznych zmian z konieczną zachowawczością. Powszechny sceptycyzm, indywidualistyczne rozproszkowanie, beztradycyjny kult abstrakcyjnej wolności wprowadzają anarchję i oddają rzeczywistą władzę ukrytym siłom. W państwach demoliberalnych rozstrój jest wynikiem braku *minimum* nietykalnych, ogólnie przyjętych pojęć, zgodnych z naturą ludzką; w demokracjach autorytatywnych (Sowiety, Niemcy, Portugalja) zbyt dużo rzeczy uznawanych jest za nietykalne. Gdy zbyt wiele pojęć narzucanych jest do czczenia, wówczas panuje tłumiący twórczość przymus; bez *minimum* nietykalnego obejść się nie można, ale to *minimum* powszechnie powinno móc być uznane, ten zaś warunek spełnić mogą tylko autorytety nieabstrakcyjne, oparte na trwałych i niezależnych od woli jednego pokolenia elementach: na krwi i tradycji. Przez długie stulecia, różniące się wybitnie, a jednak pokrewne i w poszczególnych okresach wspaniałe, powstawały i rozwijały się narody i państwa, tworzące wspólnotę cywilizacyjną zachodnio-europejską. Chaos, datujący się od stu pięćdziesięciu lat, wynika albo z braku uświęconych i nietykalnych pojęć, albo z przeciążenia dogmatami fałszywych kultów.

Pisarze, krytycznie patrzący na dzisiejszą epokę, porównywają ją czasami z epoką najwcześniejszego średniowiecza; według nas było jednak wtedy lepiej, niż dzisiaj. „Barbarzyńskie" ludy gotowe były przyjąć światopogląd spirytualistyczny, który rozwijał i udoskonalał ich własne dążenia; nie chcieli germańscy i słowiańscy najeźdzcy zniweczenia starych podstaw cywilizacji, przeciwnie, imponował im Rzym i władzcy nowych ludów upraszali dziedzica Rzymu, cesarza bizantyjskiego o tytuł konsulów i patrycjuszów. Ideologja wielkorewolucyjna odnosi się z pogardą do cywilizacji *ancien régime*'u, zdecydowany materjalizm i niwelacja kosmopolityczna są głównemi założeniami „wieku demokracji i republiki"; apostołami przewrotowego światopoglądu są żydzi, zaś maszynizm i entuzjazm dla bezmyślnych sportów pomagają żydom w ich destrukcyjnej propagandzie. Tylko zupełny, szczery powrót do światopoglądu spirytualistycznego, opartego na ideałach krwi i tradycji, pozwoli uniknąć anarchji i tyranji, wypływających z dążeń do urzeczywistniania nietylko nieeuropejskich, ale wprost nieludzkich pseudo-pewników, które są w istocie naiwnemi widzimisię ludzi, chcących zostać poza prawami życia.

LESZEK GEMBARZEWSKI

W HOŁDZIE PROFESOROWI

KILKA WSPOMNIEŃ I JEDNA AKTUALNOŚĆ

DZIAŁO SIĘ to ni mniej ni więcej tylko akurat czternaście lat temu, w czwartej klasie gimnazjum już dziś nieistniejącego w dawnej ruderze przy ul. Kościuszki, w miasteczku zwanem przez Żeromskiego Klerykowem.

Od czasów kiedy Andrzej Radek ślęczał nad algebrą, czy łaciną, zmieniło się w Klerykowie bardzo wiele i bardzo mało. Wiele, bo z Moskali nie zostało ani śladu, a mało, bo w gimnazjum ksiądz profesor tak bardzo, bardzo postaremu „ględził" o wojnie peloponeskiej, zasilając swe nieżywe słowa żywcem powtarzanemi zdaniami z podręcznika.

Właśnie ważyły się tragiczne losy Nikiasza i Demostenesa, gdy ksiądz profesor nagle zamilkł, kierując spojrzenie w stronę, z której dobiegał szelest leciuchno przewracanych kartek.

Patrzył przez chwilę ksiądz cierpliwie, wyczekująco, a później powolnym głosem spytał: „Co czyta"?

Pytanie padło nieosobowo, ale wymowny gest wskazującego palca aż nadto wyraźnie piętnował winowajczynię, która, trzeba wyznać, już nieraz grzeszyła na śmiertelnie nudnych lekcjach historji starożytnej, lekturę jakiegoś May'a czy Londona.

Ksiądz profesor i tym razem węszył sensację, lecz jakież było jego zdumienie, gdy zamiast awanturniczo-podróżniczego tomiku przychwycił tylko maleńką, niepozorną broszurkę w szarej okładce.

Przeczytał tytuł, zabrał książeczkę i by powetować sobie rozczarowanie wpisał do dziennika nazwisko niefortunnej czytelniczki „za nieobyczajne zachowanie się na lekcji historji."

Sądząc jednak (zupełnie zresztą słusznie), że to na przyszłość przestroga zamała, postarał się o dodatkową karę jednogodzinnego odosobnienia po nauce.

Poczciwy ksiądz profesor okazał się tylko narzędziem w ręku Opatrzności, bo na szczęście zapomniał skonfiskować z katedry „lica czynu," zostawił maleńką książeczkę!

Ukarana delikwentka, zamiast smutnie rozmyślać nad surowością władzy szkolnej, przeczytała do końca broszurkę i powzięła wówczas jedno usilne postanowienie, nie mające nic wspólnego z historją starożytną, ale zato ze studjami nad historją literatury polskiej.

Tytuł książeczki, napisanej przez Ignacego Chrzanowskiego, która tak bardzo zajęła wówczas uczennicę czwartej klasy gimnazjalnej i otworzyła przed nią świat nowych zainteresowań i upodobań brzmiał: „Chleb macierzysty Ody młodości."

Od owej chwili upłynęło kilka lat zamkniętych świadectwem dojrzałości i zdawało się, że nic już nie przeszkadza, aby spełnić zamiar powzięty w godzinie „odosobnienia."

O wiele jednak krótsza i łatwiejsza okazała się do przebycia droga z gimnazjum św. Kingi na Uniwersytet Jagielloński, niż kilkadziesiąt kroków, jakie w Krakowie należało zrobić z ulicy Batorego na Biskupią nr. 2 do Jasnego Domu, w którym wówczas mieszkał profesor Chrzanowski.

Legenda studencka głosiła wprawdzie cuda o nadzwyczajnej przystępności profesora, o jego uprzejmości, wyrozumiałości i życzliwości dla uczniów, a przedewszystkiem o wspaniałej kartotece, z której jak z rogu obfitości sypały się tematy prac, wskazówki źródłowe i bibljograficzne.

Zresztą rzeczywistość znacznie legendę przewyższała, lecz pierwszoroczny student przekonywał się także o wymaganiach profesora na rozbiorach tekstów literatury staropolskiej, gdy wchodziła w grę nietylko analiza treści, formy i języka, ale także wpływy obcych literatur, prądów umysłowych i kulturalnych na danego autora i utwór.

Nic więc dziwnego, że skoro skończyło się gimnazjum matematyczno-przyrodnicze i ani w ząb nie potrafiło przetłumaczyć żadnego zdania łacińskiego, nie było co marzyć o rozbiorach staropolskich tekstów, często gęsto łaciną przeplatanych, *eo ipso* o przekroczeniu progów „Jasnego Domu."

Najpierw trzeba się było przedrzeć przez zawiłości łacińskiej gramatyki i składni, odbyć wędrówkę od Cezara i Cicerona do Horacego i Tacyta, no i tymczasem pracować u innego profesora, znakomitego badacza i świetnego znawcy Mickiewicza, ale nie mającego iskry Bożej, by ucznia do zgłębienia przedmiotu zachęcić, wskazówką, radą albo serdecznem słowem, bo co tu dużo mówić, profesor Kallenbach, chociaż najzacniejszy człowiek, nie był dobrym pedagogiem. Naprawdę traciło się cierpliwość słuchając np. jego wykładów o Janie Kochanowskim, który przez dwa trymestry wracał ze słonecznej Italji do kraju i ostatecznie uczynił to widać w trzecim trymestrze, skoro dalszy żywot spędził w Czarnolesie, ale o tem większość słuchaczy dowiadywała się tylko z podręcznika literatury.

Czyż można bowiem chodzić na wykłady w trzecim trymestrze, zwłaszcza gdy miało się w perspektywie egzamin właśnie z historji literatury i właśnie u profesora Kallenbacha.

O, wtedy, chociaż na krakowskich plantach majem rozkwitały bzy, nie pamiętało się ani o wiośnie, ani o słońcu, tylko o tem, kiedy i gdzie jaki pisarz się urodził, kiedy mu się zmarło, w którym roku zaczął, a w którym skończył poemat czy powieść, kiedy gotowe już dzieło opuściło prasę drukarską, ba ile sobie jeszcze później liczyło wydań!

Nic więc dziwnego, że gdy powódź szczegółów i cyfr przesłaniała cały wiosną roześmiany i rozśpiewany świat, jak harfy eolskie zabrzmiała nowina, że egzaminować będzie profesor Chrzanowski.

Właściwie dzisiaj trudno to nazwać egzaminem, lepiej rozmową na temat literatury od Kochanowskiego po Sienkiewicza, tak jak trudno powiedzieć bez przesady, że była to najszczęśliwsza chwila w życiu polonisty, kiedy stawał się członkiem seminarjum profesora Chrzanowskiego,

nie, tó była tylko dla wielu chwila najbardziej upragniona.

Minęły znowu lata, w ciągu których profesor Chrzanowski opuścił mury Uniwersytetu Jagiellońskiego, przechodząc na emeryturę, wyprowadził się również z „Jasnego Domu", do innej kamienicy, do której już teraz nie ciągną dwa razy w tygodniu procesje studenckie na rozmowy o tematach prac magisterskich czy doktorskich, i nie przychodzą liczni petenci po zaświadczenia, na których podstawie można było uzyskać pożyczkę czy stypendjum.

Zdawałoby się, że Chrzanowski, tak zawsze młodzieży bliski, zerwał wszelki z nią kontakt. Nawet w siedemdziesięciolecie swych urodzin i dwudziestopięciolecie pracy literackiej i pedagogicznej nie chciał się zgodzić na publiczne uczczenie swych zasług. Rad nierad na ściśle prywatnem zebraniu przyjął księgę pamiątkową, zawierającą prace przeszło trzydziestu swych uczniów.

Chociaż jednak profesor trzymał się w stosunku do swego jubileuszu słów (o kim innym wygłoszonych w odczycie poświęconym zasługom Kasy Mianowskiego), „że są przecię jeszcze ludzie w Polsce, którzy pracują bezimiennie i bronią się od rozgłosu jak od napaści albo zniewagi", to jego uczniom wolno o tem zapomnieć, a pamiętać również powiedzenie Chrzanowskiego i również na odczycie publicznym wygłoszone, o tem, że Polska niepodległa powinna święcić rocznice „wielkich czynów na polu kultury politycznej, gospodarczej, umysłowej, religijnej, oraz rocznice swoich wielkich ludzi, którym te czyny zawdzięczamy. Bo przecie te właśnie czyny zbudują Polskę nową."

A czyż takim czynem budującym polskość w umysłach i sercach tysięcy ludzi nie była i nie jest „Historja literatury niepodległej Polski" napisana przez Chrzanowskiego, czyż takim czynem nie są jego studja: nad Marcinem Bielskim, literaturą stanisławowską, romantyzmem, jeśli się wyliczy tylko kilka, bo bibljografja wszystkich dotychczasowych prac, studjów i artykułów uczonego obejmuje zgórą tysiąc pozycyj, wreszcie czyż takim czynem nie jest najnowsza książka „Literatura a naród?"

Materjał, z którego powstał ten przepiękny tom jest bardzo bogaty, zarówno ze względu na rozmaitość zagadnień, jak rozpiętość czasową ich opracowania. Są bowiem tutaj przemówienia, fragmenty wykładów, szkice literackie od r. 1910 do 1934.

Jednak tak różnorodna treść związana jest nietylko samym tytułem i wspólnością ideologji, ale i doskonałością układu w jednolitą całość, w której niema żadnych zbytecznych dygresyj.

Jak w roku 1506 Jan Łaski, wydając „Zbiór praw polskich", umieścił na ich czele pieśń Bogurodzica, mającą już wtedy tylko tradycję hymnu narodowego, tak Chrzanowski książkę swą rozpoczął artykułem zatytułowanym „Nasz hymn narodowy (Pieśń legjonów)." Pieśń ta, będąca hymnem żywym, towarzyszy nam przecież we wszystkich ważnych i uroczystych chwilach patrjotycznych i naprawdę nie można było piękniej rozpocząć książki o tak wymownym tytule, „Literatura a naród", jak właśnie analizą hymnu narodowego.

Potem dopiero następuje syntetyczny wykład „O literaturze polskiej", i studja: o Kochanowskim, i o Komisji Edukacyjnej, o Staszicu, Śniadeckim, wieszczach, Asnyku, Sienkiewiczu, Prusie i t. d.

Czytając studjum o Kochanowskim, który wdarł się nietylko na szczyty poezji, ale i kultury staropolskiej, albo prześliczną charakterystykę Niemcewicza, którego żywot według słów autora „powinno znać każde dziecko polskie", wprost wierzyć się nie chce, że mógł się znaleźć recenzent, który pisząc o tej książcę Chrzanowskiego, nie widzi tam innych wartości poza: erudycją, „sposobami pisarskiemi, metodycznemi nałogami, rejestracją i opisem, mozolnem nieraz i pożytecznem, ale biernem zestawieniem tekstów."

Daj Boże każdemu historykowi literatury posługiwać się takiemi pisarskiemi sposobami i chwytami jak Chrzanowski, gdyż co do biernego zestawiania tekstów to fałsz oczywisty. Kto jak kto, ale Chrzanowski jako krytyk, już wprost z przyrodzenia, z żywości temperamentu nie jest biernym i zimnym erudytą. Potęgą jego słowa zabarwionego szczerem uczuciem rozbrzmiewała nietylko sala Kopernika, ale rozbrzmiewa także każda jego książką.

Cytując często teksty bynajmniej nie porzuca Chrzanowski „wypowiedzi własnej," jak twierdzi dalej w „Gazecie polskiej" (nr. 46, 1936 r.) Zbigniew Kucharski, lecz tylko wypowiedź tę wzmacnia, uwypukla, czyni dobitniejszą.

A zresztą czy tylko dla poparcia swej argumentacji posługuje się Chrzanowski tekstem? Bynajmniej, częściej jeszcze dlatego, że jako wytrawny pedagog zdaje sobie sprawę, iż w odczytach publicznych, a także wykładach uniwersyteckich i artykułach, tekst jest niezbędny, gdyż nawet ludzie inteligentni, nie wyłączając polonistów, nie mogą znów tak bardzo chlubić się znajomością literatury polskiej, zwłaszcza dawniejszej, by liczne cytaty nie miały znaczenia, były grzechem nie do darowania i niepotrzebnym balastem!

Recenzent zato unika jak zarazy tekstów z książki Chrzanowskiego „Literatura a naród", poprzestając na ogólnikowych frazesach. Czyżby nie chciał, by jego wywody zagłuszył taki np. wyjątek: „Zapewne są tacy, co w lęku, żeby ich nie posądzono o nacjonalizm, którego nie chcą odróżniać od szowinizmu, szermują na prawo i na lewo rzeczownikiem „państwo" i przymiotnikiem „państwowy", a boją się jak djabeł święconej wody rzeczownika „narodowość" i przymiotnika „narodowy." (s. 123)

A teraz pytanie czy istotnie obce są, jak znowu chce recenzent, Chrzanowskiemu „echa haseł uniwersalistycznych, estetycznych, państwowych, tak znamiennych dla pokolenia." Skoro tak, to czemże wytłumaczyć chociażby takie zdanie (znowu cytaty!) że „ideał braterstwa wszystkich ludzi i wszystkich narodów jest obok ideału Boga, jako miłości i sprawiedliwości, najwyższym ze wszystkich ideałów, jakie dotychczas wykołysała dusza ludzka", (s. 180) albo inne, na które mogliby się pisać współpracownicy czasopisma „Zrąb," „żeby szkoła, jak wszystkie bez wyjątku instytucje państwowe przyczyniała się do spoistości państwa." (s. 68)

Warto jeszcze na jeden zarzut skierowany pod adresem Chrzanowskiego zwrócić uwagę, na ignorancję współczesności i na to, że przecie po-

święcił „niektóre swoje artykuły drobnym wydarzeniom teraźniejszości, bądź stając w obronie Dmowskiego, jako lauereata nagrody poznańskiej, bądź atakując Brunona Jasińskiego, bądź też wreszcie osobę Skargi wzywając na świadka pewnych wątpliwych wystąpień ks. biskupa Łozińskiego.” Istotnie, wobec większości retrospektywnych studjów, nie tylko te trzy, ale jeszcze inne dwa artykuły poświęcone przez Chrzanowskiego współczesności to mało, bardzo mało, ale czyż jednak nie jest to właśnie przypadkiem celowe, przecież nad wielkiemi dziełami literatury tylko osąd z odległości czasowej może być prawdziwie spokojny i rzeczowy. Jeśli profesor Chrzanowski, mimo wszystko, zabrał głos o współczesnych utworach, to powodował się swą ideologją, albo nie uważał niektórych zjawisk za takie drobiazgi jak recenzent jego książki p. Kucharski i dla tego wystąpił przeciwko bolszewickiemu poematowi Bruna Jasieńskiego „Słowo o Jakóbie Szeli”, nie zapomniał, o innym też najprzedniejszym chyba „drobiazgu”, o monografji Wacława Sobieskiego o Pomorzu. Walka o Pomorze czy to istotnie drobiazg? Dlaczego jednak nie zabrał głosu w sporze rewizjonistycznym np. o Sienkiewicza? Owszem, uczynił to, i można powiedzieć, że z wielką finezją, bo ni mniej ni więcej tylko umieścił w swej książce tekst odczytu wygłoszonego 7 grudnia 1916 roku no i artykuł pt. „Kalendarz Opolski i Sienkiewicz na Śląsku”, ogłoszony poprzednio 1 stycznia 1934 na łamach „Kurjera Warszawskiego.”

Oba studja, poświęcone Sienkiewiczowi, zarówno to z przed lat dwudziestu bezmała jak i to z przed dwu, są równie aktualne i będą takie zawsze dla wszystkich, którzy nie są wrogami rewizjonizmu, ale jak ich autor, uważają że „krytyka przeszłości wówczas jedynie jest dodatnim czynnikiem życia, kiedy płynie z umiłowania nietylko prawdy historycznej, ale i żywych ludzi, że więc powinna być surowa, ale zarazem, ostrożna, to znaczy rachować się z psychiką narodową” (s. 35), no i pamiętają, że zasługi Sienkiewicza są nieśmiertelne dla Polski.

Po tem wszystkiem, czego się czytelnik tu dowiedział, może wprawdzie zrobić autorce jeden zarzut „zrozumiałej stronniczości”, ale zanim to uczyni, niech wpierw przeczyta książkę Chrzanowskiego „Literatura a naród”, a przekona się napewno, że poza obfitym materjałem historyczno-literackim, jest w niej coś więcej: gorąco kochające całą Polskę serce, i jest znajomość gruntowna przeszłości, świadomość teraźniejszości i troska o przyszłość.

To też niczego więcej nie można życzyć jej autorowi, jak tylko tego by „Literatura a naród,” stała się chlebem macierzystym wszystkich serc polskich.

IRENA TUROWSKA

NORWIDJANA IV

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ TRZECIA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

6. Do W. Mazurkiewicza.

[Początek r. 1855?]

Szanowny Kapitanie!

Pocóż ma Generał do mnie pisać? Jeżeli potrzeba osobistość zbliżyć, niech się o mnie zapyta przyjaciela swojego: J. Boh. Zaleskiego, L. Kaplińskiego, pana Adama Mickiewicza, — wybieram tych, z którymi Generał blisko zna się. Żyjemy w całości, która całości nie ma, musimy więc tych nieszczęśliwych komentarzy osobistych się imać, — oto osobiście; — ale na cóż Generał ma pisać do mnie na teraz, kiedy mię jeszcze użyć nie może, bo na cóż zdam się?

Główniejsza rzecz jest, ażeby Generał napisał do Ciebie, Szanowny Kolego, w odpowiedzi na te najgłówniejsze myśli nasze, które ku żadnemu komitetowaniu nie nakłaniają, którym idzie tylko o to naprzód, ażeby Generał na swoją własną ważność historyczną więcej oglądał się niż na szanownie dokończone ciała technicznej organizacji jakiejkolwiek:

I to też Generał czyni; pozostaje tylko jedna przez Niego ordynowana rzecz: reforma. Otóż reforma bez idei jest restauracją formalną końca nigdy nie mającą, składającą się ciągle z mnogich niepoczciwości, które się wzajemnie alternative podstawują. Ażeby zreformować nietylko rewolucjonistów naszych, ale wogóle europejskich, trzeba poprostu avoir l'audace de la simplicité i zapytać:—Szanowni bracia, przepraszam was, ale postawcie nam jasno i w sposób wytrzymujący zarówno krytykę myśli jak praktyki, co rozumiecie być prawem człowieka? Na tem polu przyszedłszy do solucji, można potem reformować; ale pierwej ani podobieństwo.

Otóż to zawsze zostaje tajemnicą dyplomatyczną, którą przez grzeczność się omija i nikt nie jest w stanie być dość maleńkim demokratą, ażeby śmiał tak elementarną kwestję zadać. Otóż próżna rzecz!

Dzieło rozłamania jest skończone; wszystkie narody wydały emigracje pasywne, bierne, zaprzeczające i orzekające. Teraz po skończonem tem dziele rozłamania, niema co już więcej rozłamywać i trzeba już mieć punkt wyjścia tak jak zegar i dzwon w Arabji były wynalezione dlatego, że na pustyni bez granic trzeba było jakiś środek i punkt wyjścia znaleźć, któryby służył za oś. Otóż nasza myśl była, ażeby zawezwać elementa, ażeby odpowiedziały nam, i z tych odpowiedzi ułożyć kryształ opinji, i nie wdając się w żadne kwestje o władzę osób i technikę, przygotować wam punkt wyjścia.

Rewolucji nie można imitować, chyba tak jak spazmy i ataki nerwowe imitują mod-

nisie. Rewolucja jest to oryginalność sama przez się. Trzeba mieć prostotę zapytania się: na co Polska? Dla najsprawiedliwszej ludzkości w czasie danym — jak sprowadzić uczucie ludzkości w obowiązek?—przez prawo. Czy jest prawo w łonie Polski i wieku określone? Niema... a więc cóż? Zostaje: patrjotyzm — jako uczucie, ludzkość—jako uczucie, demokracja — jako techniczna kwestja, arystokracja — jako techniczna pretensja. Czemże tu reformować, jeżeli nie ideą prawa, wyprowadzonego z uczucia ludzkości po polsku?

Norwid.

Uwaga wydawcy: Autograf w zbiorach bar. L. Kronenberga, bez adresu i daty; druk w *Głosie Naródu* 1931, nr. 347. Adresata ustalić nietrudno. Był nim najpewniej kapitan Wincenty Mazurkiewicz, szwagier Mierosławskiego i jego prawa ręka (życiorys zob. w książce zbior. *Wieniec pamiątkowy*, Rapperswyl 1881, s. 325 n.). Datę oznaczyć można w przybliżeniu tylko i hypotetycznie: Norwid otrzymał list może z początkiem 1855, niedługo po powrocie do Paryża (wrócił w grudniu 1854; zob. *Listy* Z. Krasińskiego do A. Cieszkowskiego, II 353). Mierosławski wystąpił był z Centralizacji londyńskiej Tow. Dem. Pol. już z początkiem 1854 r. i przystał w Paryżu do Kółka Polskiego, skupiającego zwolenników polskiego, demokratycznego, legjonu w Turcji (zob. *Demokrata Polski* z 20 II 1854 i z 20 II 1856); wodzem jego miał być jen. Wysocki. Mierosławski wszelako poróżnił się i z Kółkiem, „wyosobnił się" — powiada T. T. Jeż i „prowadził tajoną przed Centralizacją i przed Kółkiem na własną rękę działalność"—(*Sylwety emigracyjne*, Lwów 1904, s. 270), usiłując listami jednać zwolenników sobie i jakiejś planowanej reformie władz Tow. Dem. Pol. Zapewne w związku z jednym z takich listów stoi niniejsza odpowiedź Norwida. Jak widzimy: odmowna.

7. Do W. Mazurkiewicza.

[1855]

Szanowny Kapitanie!

Że na mocy pełnomocnictwa, którego zarówno szeroko jak energicznie używasz, jakoteż na mocy tej rękojmi szczerości zupełnie postępowych zasad, którą ja dawam osobom, z któremi zbliżam się, wypadło, iż komunikowałeś mi kwestje czasowe sprawy; powinienem w miarę postępu oficjalności utreściwiać i ścieśniać określenia z mej strony pochodzące, ażeby żadnego dwoistego półcienia wam nie mieszać. Z tego to wychodząc przekonania, po przeczytaniu protestacji przeciw stronnictwu ks. Czartoryskiego, winienem Ci naprzód powiedzieć, że jej nie podpisuję. Następnie, jeżeli tego potrzeba będzie, proszę o załączenie Generałowi Mierosławskiemu wyjaśnienia: co chciałem i dlaczego.

1) Protestacje są aktami nierozłącznemi ze słabością i bezsilnością, są ostatnim sposobem walczenia, pozostawionym dla zwalczonych, a nie walczyć idących. Kiedy kto jest powalony i złamany, i nic mu już w realności nie zostaje, wtedy dopiero protestować mu wolno. W Sparcie na igrzyskach powalony na ziemię zapaśnik, kiedy już tylko ręką mógł ruszyć, podnosił dwa palce, protestował; na tem się kończy, od tego się nie zaczyna.

2) Ponieważ zaś taką to jest wartość moralua protestacyj, więc taka też ich praktyka. Np. ks. Czartoryski niedawno, usuwając pretensje osobiste, prosi, ażeby podpisywano się, dając mu pełnomocnictwo działania „li dla wyjarzmienia Polski". Teraz taksamo znowu żąda się podpisów na protestację przeciw niemu, a jutro może temiż indywidualnemi środkami zaprotestuje Mikołaj amnestję. I wszystko razem może być równe sobie dlatego, iż na ściśle nominalnych podpisach i indywidualnej krytyce oparte.

Otóż, jeżeli nie wolno robić z emigracji czegoś ściśle nadnaturalnego, ale uważać ją na szali cało-europejskiej cywilizacji, to niezprzeczonem jest, iż dziś nie mnogość podpisów, ale pozytywna jakość tychże znaczy coś. W Ameryce np. szesnaście tysięcy ludzi zdrowych podpisało się na petycji do Senatu, traktującej o duchach i widmach, które tam niepokoją ludzi, a wszelako nikt na tę petycję nie zwrócił oka, i widma i duchy dalej trwają. Jednem słowem, protestuje się tylko wtedy, kiedy się na tym samym co przeciwnik stanęło gruncie—i to wszechrzeczywisty jest pewnik. Stań wyżej, niż przeciwnik, a nie zapotrzebujesz protestacji. Stanąć zaś wyżej—jest to właśnie stanąć nie przez „nie", ale przez „tak".

3) Po wyłożeniu wartości protestacji w stosunku do tego, czem jest ta forma czynu, zobaczmy, co ona jest jako oświecenie rządów. Rządy na tem samem co stronnictwo ks. Czartoryskiego stanęły polu, i dlatego przez Krym do Polski idą. Oświecajże je, a zobaczysz, do czego cię to doprowadzi. Polityka negatywnych i nominalnych protestacyj doprowadziła właśnie do kwestji naddunajskiej, potem tureckiej, potem jerozolimsko-chrześcijańskiej, potem krymskiej, dlatego, iż nie przez postawienie prawa narodów działa się, ale przez perjodyczne, trudne do uniknięcia konieczności.

Otóż jest to zaletą mocarstw zjednoczonych, iż rozpoczęły wojnę, i bohaterstwa wojska, że ze spokoju wygodnego ruszyło się, ale nic w tem niema praktycznego, dlatego właśnie, że nic idealnego. Albowiem z negatywnych protestacyj nie przychodzi się nigdy do czynów postępowych chociaż (jeżeli kto to bierze za praktyczność) można wiele hałasu narobić, — temu nie przeczę; — wszelako praktyka i czyn to niekoniecznie to samo, co hałas i ruch i bicie się. Sądzę więc, iż nie należy oświecać rządy światłem równem ich światłu, ale światlejszem niż ten mrok.

4) Republikanckie działanie pod tym względem—mnie się zdaje—że powinno być pozytywne, opierające się na tradycji ludowej, a nie na protestacjach dyplomatycznych, które są jedynie negatywnych krzątań się orężem. Tradycje ludowe każą zupełnie inaczej oświecać rządy, kiedy te na drogę prawdy, lubo bezsilnie — dla długów ich, wchodzą; tradycje ludowe każą nie opierać się na tych lub innych komplikacjach przeszłości tego lub owego stronnictwa, ale wychodzić z pryncypjów jak następuje:

Zważywszy, że kilkanaście tysięcy prostotliwego żołnierza francuskiego i angielskiego w szczerości poświęcenia krew wylało, — emigracja polska ma za obowiązek oświecić rządy, iż są w błędzie z powodu, iż cokolwiekbądź czynią, skończy się przez wyjaśnienie i wprowadzenie w wigor prawa międzynarodowego, które to prawo zależy na uznaniu, iż każdy naród chrześcijański, jeżeli w funkcjach swoich przez trzy genera-

cje zaprzeczony jest, funkcje całej ludzkości zawieszone są przez system zaangażowanych pierwej wzajemnych komunikacyj. Następnie na zaaplikowaniu prawa tego do Polski przez ogłoszenie jej jako będącej w stanie insurekcji prawowitej, i przez poparcie sumienne armją czynną tegoż międzynarodowego wyroku.

Tak to oświeca się rządy, kiedy się wpierw 24 lat wszystkim sprawom narodów uciśnionych służyło. Inaczej zaprzeczamy tradycji najświętszej ludowego naszego powołania i dezertujemy chorągiew.

5) Bracie mój! Rewolucje lat ostatnich, nie postawiwszy prawa człowieka, ale podrażniwszy bóle człowieka, obiegły świat i widziałeś na czem skończyły.

Rządy dziś, nie postawiwszy prawa narodów, obiegają świat; zobaczysz gdzie dobiegną.

Koniec wojnom, koniec rewolucjom negatywnym, koniec protestacjom bez idei.

Jeżeli wierzysz w rozsądek, w postęp, w zasady, w logikę, w praktyczność, w fakta—to i w to uwierzysz.

6) Ja chciałem przez postawienie obok siebie różnorodnych wyrobów politycznych zregenerować pierwej siłę i wartość podpisywania się, a potem myśleć o podpisach. Sądziłem, że na tem zależy jasność prawdy, przekonania i wolności.

W jednej rzeczy generał Mierosławski może iż słuszność ma, to jest, że może czasu na to nie wystarczy. Ja wszelako nie przesądzam o tem naprzód i nie wiem tego, przyznaję się. To tylko wiem napewno, że ostatnie barykady rewolucyjne były na to, ażeby przyjść dziś dopiero do nieco wyjaśnionego prawa człowieka, i że kwestje naddunajskie, konstantynopolitańskie, jerozolimskie, sebastopolitańskie, są dochodzeniem do prawa narodów.

A w rezultacie: że tym, co 24 lata czuwają, nie należy iść za obozami, ale wskazywać drogę. Droga zaś nie wskazuje się przez ostrzeganie o wymotywowanej lub wywleczonej z aktów i szpargałów bezecności kogoś tam, dającego spotkać się na drodze, ale ona wskazuje się poprostu, jak to czyni chłop polski: „jedźcie oto, panowie, tędy a tędy prosto, a nie strachajcie się nikogo, i jedźcie z Bogiem".

7) Jedna protestacja, na którą piszę się, jest przeciw machjawelizmowi, przeciw któremu nic więcej nad protestację nie mogę uczynić.

C. Norwid.

Uwaga wydawcy: Autograf w zbiorach bar. L. Kronenberga także bez daty i adresu; druk tamże 1931, nr. 350 n. Adresatem jest oczywiście znowu W. Mazurkiewicz. Data wynika z dwukrotnej wzmianki chronologicznej w tekście: 24 lat emigracji po r. 1831 daje rok 1855. Jakoż rzeczywiście — od lata 1854 — obóz demokratyczny prowadził podówczas ostrą walkę protestacyjną przeciwko polityce ks. Czartoryskiego na Wschodzie (legjon polski w oparciu o Anglję). Na kartach *Demokraty Pol.* ogłaszano mnóstwo podpisów pod „aktem potępienia" Czartoryskiego, gdzie go obwoływano „nieprzyjacielem Polski" i „zdrajcą". Mierosławski ponownie liczy na pozyskanie poety między zwolenników, ale i tym razem zawodnie.

SEKRETARZ GMINNY

Pamięci mego Ojca

Tak ostro zacinał przed domem wiatr w litery na tabliczce:
[„Urząd gminy"...
i spadał w czub jabłoni, jak w zielony strumień.
Do płotu przywiązał ktoś krowę,
obsuwały się racice na glinie.

Chociaż dom dach złożył na szumie,
niepokój błyszczał w szybach.

Chyba,
gdy świadectwo na sprzedaż krowy w kieszeni,
to w sieni
przed otwartym światem szerzej.

Pomocnik gminny patrzy w swą głowę, cieniem leżącą na
[papierze,
lub na otwartą szafę, gdzie więcej mroku.

Pod samym sufitem Bartosz Głowacki spogląda poprzez
[pajęczynę,
a dzień jest taki głęboki,
jak fotel pana sekretarza.

Wszyscy tu marzą.

I stół
I ławka.

Na zielonej podstawce
krucyfiks wznosi powagę śmierci Chrystusowej,
błysk odsyła oknu i refleks.

Prócz tego ile mądrości w sobie posiadają słowa:
„Wyciąg z ksiąg ludności".

O cichości, o wiejska cichości...

Słonecznik pochylony kłania się z ogródka wieśniakom:
— dzieńdobry, dzieńdobry sąsiedzie...

Pan sekretarz żyje jako tako.
Długo w wieczór na fotelu siedzi.
Na siwych włosach kładzie mu dłoń ciepłą klosz lampy,
czuje białe pochylenie sufitu, zegar na oczy sypie mak.

Odblask okna na szosie jak szać...

Tak... tak... tak...

Sny głęboko w poduszkach ukryte.

Spać.

JERZY PIETRKIEWICZ

NA WIDOWNI

Stronnictwo Narodowe jako piorunochron.— „Endecja" wrogiem narodu i państwa. — Co gorsze: komunizm czy nacjonalizm. — Żydzi orzekli: nacjonalizm. — Legenda o defetyzmie. — Pierwiastek komiczny w tragedji.

DZIEJOPIS naszych czasów, po wielu latach przecierania oczu, będzie pisał: Dziwny obraz przedstawiała Polska w r. 1936. Podczas gdy świat chwiał się w posadach z racji utracenia równowagi politycznej, a Polska, wściśnięta między dwie gigantyczne machiny państwowe, robiła wrażenie statku uwięzionego w lodowcach, opinja publiczna wstrząsana była alarmami, jakoby Polsce groziło jedno tylko niebezpieczeństwo, mianowicie ze strony polskiego ruchu narodowego. Dosyć przejrzeć diarjusze ówczesnego Sejmu i Senatu, enuncjacje oficjalne, prasę „sanacyjną", socjalistyczną i żydowską, aby się przekonać, że inne zagadnienia (a były bardzo ciężkie) ginęły w cieniu tej wielkiej zmory, jaką był przejawiający się coraz wyraźniej nacjonalizm polski.

Wiemy z poprzednich rozdziałów — będzie tak pisał historyk — jak do tego doszło, że tak nieproporcjonalną do moralnych sił narodu pozycję zajęły czynniki wpływowe w instytucjach i w prasie, bojaźliwie okopujące się, jak przed wrogiem, na szerokim froncie walki z nieuchwytnym dla nich prądem, idącym od mas narodowych. Prąd ten przenikał wszelkiemi szczelinami do okopów. W wielu wypadkach broniący się od niego musieli się nawet nim posługiwać. Czemże bowiem był wniosek p. Prystorowej w sprawie uboju rytualnego, jak nie wyrazem owego ruchu?

Otóż to. Tem większe było rozdrażnienie po tej stronie, że wyłomy takie stawały się nieuniknione i zapowiadały koniec przewagi politycznej przy pomocy żydów. Ruch narodowy wzmógł się z tą chwilą i nabrał akcentów dramatycznych, gdy żydzi, zawsze w polityce niecierpliwi, ujawnili pretensje do traktowania Polski jako *condominium* żydowsko-polskiego.

Była to walka żydów ze społeczeństwem polskiem, ale prowadzona przez nich anonimowo i oczywiście szukająca sposobów taktycznych, aby nie była jawnie uznana za walkę z Polską. Z tego względu symulowało się ją jako wojnę z „obozem narodowym," nawet ściślej — ze Stronnictwem Narodowem. Sztandar zaś strony atakującej nacjonalistów znalazł się w rękach „sanacji". Cały ciężar odpowiedzialności za tę walkę ona też wzięła na siebie.

Istnienie t. zw. „endecji" było prawdziwą ulgą dla przeciwnika, tworzyła ona bowiem jakiś moment uchwytny, formalny cel pocisków na tle ruchomej fali życia narodowego. Żydzi wołali o represje. O człowieku mówiłoby się: ukrzyżować, o organizacji mówi się: rozwiązać!

— — — — — — — — — — — —

Stało się modnem, nawet obowiązującem zniesławianie ruchu narodowego. Stało się ono zasadą *regime*'u. Organ radykalny tej komendy jerychońskiej, „Kurjer poranny" dawał wstępne artykuły pod wielkim tytułem: „Narodowcy przeciw narodowi". Publicysta Reżymowski, żeby już nikt nie doszedł prawdy, gdzie jest naród, na takie to puszcza się figle, czysto żydowskie. Powołując się na pokrewne głosy w Sejmie i Senacie, gdzie — jak wiadomo — niema ani jednego przedstawiciela Stronnictwa Narodowego, podaje opinje pp. Michałowicza, Jaroszewiczowej i in. jako miarodajne, bo zgodne z opinją min. Raczkiewicza:

„Stwierdził on, mianowicie, że partja ta, nie mogąca się poszczycić żadnym pozytywnym dorobkiem w dziedzinie poważnej pracy społecznej, świadomie anarchizuje życie przez kolidującą z kodeksem karnym, a więc zbrodniczą akcję podburzania ludności polskiej przeciw mniejszościom (?) narodowym, a w szczególności przeciw mniejszości żydowskiej."

A dalej:

„Streszczając owe opłakane rezultaty, możnaby pomyśleć, że te żywioły, które zrobiły jaknajmniej dla odbudowy Państwa Polskiego, dziś wysilają się, aby zrobić jaknajwięcej dla rozsadzenia jego wewnętrznego ładu."

Więc w rezultacie nie „przeciw narodowi", jak brzmi tytuł, lecz przeciw „ładowi", opartemu na „mniejszościach", a w „szczególności..." Otóż o tę szczególność chodzi. Czemuż to jądro sprawy reżymowscy publicyści obwijają w takie zwoje bawełny, zasłaniają „mniejszościami" tubylczych narodowości, przeciwko którym obóz narodowy nie działa, owszem stara się je przygarnąć, czemuż angażuje w tę walkę „państwo," skoro Stronnictwo Narodowe jest obozem *par excellence* państwowym? Są to niegodne uczciwego Polaka chwyty. A cóż mówić o takim profesorze uniwersytetu, Michałowiczu, który w zapamiętaniu uciekł się do orjentalnego chwytu, rzucając insynuację, że polski ruch narodowy zasilany jest funduszami przez obce mocarstwa. Trudno bowiem przypuścić, aby miał na myśli pieniądze żydowskie na tym froncie walki.

W którą stronę żydzi kierują się z pieniędzmi, jako ze środkiem działania, w który wierzą, mieliśmy wskazówkę w doniesieniach prasy o wizycie złożonej przez trzech żydów ks. prałatowi Trzeciakowi, oczywiście w czasie jego nieobecności. Chodziło o przekupienie służby, mianowicie, żeby ich dopuściła do biurka gospodarza. Były tam dokumenty, z któremi za chwilę ks. Trzeciak miał się udać do Sejmu jako ekspert w sprawie rytuału rzezackiego, podawanego przez żydów za sakralny. Dobrze, że drzwi były na łańcuchu. Goście ofiarowywali za prawo wejścia 8.000 zł. Był w tem gest wielkopański, nawet pewna rozrzutność, boć dokumenty rzeczone już były ogłoszone w druku. Ileż więcej warte były mowy w obronie żydów i takie artykuły, jak „Narodowcy przeciw narodowi!"

— — — — — — — — — — — —

Ruch, biorący początek w odruchu instynktów narodowych, przez długi szereg lat uświadamiany i ostatecznie uznany przez wszystkie sfery zdrowo myślące, ruch wypowiadający najelementarniejszą potrzebę życia, jak ten mający na celu wytworzenie mieszczaństwa polskiego ma głębokie dla Polski znaczenie dziejowe.

Z tem historycznem zjawiskiem budzenia się narodu idzie w paragon znamiennością swoją inne, mianowicie brak zrozumienia tamtego faktu w pewnych kołach inteligencji polskiej i łatwość, z jaką dla celów bieżącej chwili sumienie dawało się na ten fakt czynić głuchem. Dochodziło do tego, że poddawano publicznym debatom kwestję, azali nacjonalizm polski nie grozi Polsce

większem niebezpieczeństwem, niż czyniący przerażające postępy, a idący ze Wschodu — bolszewizm. Zestawienie to było tak ryzykowne, że nawet w łonie przeciwników Stron. Narodowego wywołało zdziwienie. Publicysta prawicy prorządowej, red. „Słowa" wileńskiego, p. Mackiewicz pisze z tego powodu:

„Mowę min. Raczkiewicza z entuzjazmem powitała prasa żydowska. Nie podzielamy tego entuzjazmu. Gdyby w Polsce antysemitów nie było (to niebezpieczeństwo zresztą nie grozi i nie groziło nigdy), to należałoby ich wymyśleć, bo inaczej Żydzi siedzieliby nam na głowie. Nie widzę zresztą możliwości rozwiązywania jaskrawie antysemickiego stronnictwa i pozostawiania jaskrawie semickich organizacyj".

„Poczuwam się do obowiązku" — pisał — „założenia publicznego protestu, kiedy endeków zestawia się z komunistami. To jest niedopuszczalna metoda. Endecy są Polakami, tak samo, jak my. Nie można ich obrażać porównaniem do komunistów. Nie zapominajmy, że młodzież endecka jest dziś w większości na uniwersytetach, politechnikach, szkołach wyższych. Przyrównując ten kierunek do komunizmu, jakież świadectwo wystawiamy swemu narodowi".

Od dziesięciu lat opinja publiczna z niepokojem patrzy na nienormalne stanowisko partji, bojącej się utraty swych wpływów, że za największe niebezpieczeństwo Polski podaje to, co pochodzi z aspiracyj narodowych. W takim stanie ducha oczywiście trudno mówić o możliwości dodatniej pracy politycznej. Wystarczy, jak widzimy w tym wypadku, pewne oddalenie od ogniska tego nastroju panicznego, jakiem jest Warszawa, aby spostrzec, do czego taki stan rzeczy prowadzi. Bodaj do rzucenia komunizmu na nacjonalizm.

Słuszne stanowisko zajął podczas debat nad budżetem w Senacie przedstawiciel ziemiaństwa, senator Kazimierz Fudakowski. Stwierdził on nienormalność stosunków, gdy czynnik miarodajny

„osądza społeczeństwo, jego myśli i uczucia, z najgłębszej miłości do narodu zrodzone i dlatego, że są narodowe potępia je narówni z komunizmem, ideą i czynem wrogim Polsce i narodowi polskiemu, wrogiem Państwa i jego bytu. I widzę w tem" — mówił dalej — „krzywdę tego odłamu, którego wartość mierzona być może tylko jego wielką miłością dla Polski, widzę zamiast wielkiego skupienia sił narodowych, ich rozszczepienie".

Tak, w polityce, zwłaszcza u góry, dobrze jest mieć trochę objektywizmu, tyle przynajmniej, aby poza sobą widzieć jeszcze coś więcej. Jakże robić można dzieje, gdy się nie widzi tego, co jest *res gesta* i gdy nie starczy objektywizmu, aby coś widzieć sprawiedliwie? Jakże trudno w tych warunkach orjentować się w wartościach!

— — — — — — — — — — — —

Stronnictwo Narodowe po półwiekowej, tak ofiarnej i tak skutecznej pracy nad odbudową państwa i nad rozwojem jego mocy, którą dać może tylko świadomie żyjący naród, wysłuchiwać musi oskarżeń, wygłaszanych ku poklaskowi żydów i bolszewików, że nie dość jest potrjotyczne, bo nic nie robi dla wychowania narodu, przeciwnie wrogiem było akcji zbrojnej, że tylko żądza karjery niem kieruje, że wreszcie wysuwa sprawę żydowską tylko ze względów taktycznych, aby nią robić kłopot władzom...

Co do owego antymilitaryzmu i żądzy władzy znakomitą odprawę dał czcigodny St. Głąbiński w liście powszechnie już znanym. Zbiegiem okoliczności ukazały się w tym czasie pamiętniki gen. Dowbora-Muśnickiego oraz książka „Kwestja wojska polskiego w Rosji w 1917 r." Publikacje te oświetlają z dwu stron dzieje wielkiego korpusu, utworzonego wysiłkiem obozu narodowego, a zmarnowanego przez walczącą z nami tak jak teraz, nieunarodowioną lewicę i balansujący na tę i drugą stronę „Naczpol". O cóż chodziło przeciwnikom? Żeby nie rzucić korpusu przeciwko Niemcom, którzy obiecali inaczej rozwiązać kwestję polską. Dowbór-Muśnicki tłumaczy się, że był źle informowany. „Naczpol" doradził mu poddanie się „woli kraju" (Beselera) według przedstawień wysłanników (soc. Kunowskiego i hr. Rostworowskiego), przybyłych do Sztokholmu. W recenzji z drugiej książki p. Bogusławski w „Kur. Warsz." (nr. 74) słusznie nazywa ten obrót sprawy tragicznym:

„Ciężkie, bolesne momenty Kaniowa i Bobrujska nie byłyby miały miejsca, gdyby nie paraliżowano przez tyle czasu akcji tworzenia wojska polskiego w Rosji, bojąc się w istocie bardziej własnych, ale inaczej myślących rodaków, niż najzagorzalszego wroga".

Tragedja trwa. A dla wzmocnienia tragiczności, ileż w niej pierwiastka komicznego. Znakomity myśliciel i psycholog, prof. Stefan Szuman w ogłoszonej świeżo rozprawie o humorze, w humorze szekspirowskim widzi istotę tragizmu. Jak tego nie widzieć tutaj, gdy „reżymowscy" uczą patrjotyzmu Stronnictwo Narodowe („nie mogące się poszczycić żadnym pozytywnym dorobkiem...")?

Szekspirowskie to typy, owi publicyści, wypłosze międzynarodówki, nie wiedzący na którą nogę w dzieje skoczyć, skaczący na komendę masonerji znający tylko jedną robotę — fałszowanie historji, ze sprawy żydowskiej robiący hecę, jakoby pomysłem była taktyki z r. 1935. Zasady i główne wytyczne polityki narodowej (zarówno zewnętrznej jak i wewnętrznej) mają, nie sięgajmy dalej, swoją 50-letnią historję. Przypomnę co do zagadnienia żydowskiego, że „Głos" warszawski drukował jeszcze w r. 1890 rewelacyjną rozprawę Witolda Ziemińskiego „Czem jest Izrael?". Promotorem badań w tym kierunku był Jan Popławski, którego rozprawa o sjonizmie („Przegląd Wszechpolski", 1902) do dziś dnia ma walor.

Czemże naogół byłaby świadomość dziejowa Polski dzisiejszej, zmuszająca nawet przeciwników obozu do trzymania się nadanego przez nią kierunku, gdyby nie zasługi tych pokoleń bojujących o wielką osobowość narodu, zasługi tak niecnie przez Reżymowskich kwestjonowane? Dziś z narodem trzeba się liczyć. W tem jest wiele zasługi tak niemiłej żydom „endecji". Zaszczytne to jest dla niej, że w manewrach politycznych odgrywa rolę piorunochronu, jako *pars pro toto*.

Endecja jednak jest skromna, potrafi rozumieć, że w wielu wypadkach jest tylko tarczą, w którą się rzuca pociski, bo wstyd złorzeczyć narodowi. Potrafi też rozumieć, że wiele znaczy brak kultury moralnej, brak oswojenia się z narodem i gruntowna jego nieznajomość. Bo gdy „endecja" pracowała, Reżymowscy bałamucili się w międzynarodówkach, pocieszając się, że nie Biały Orzeł straszy ich sumienie, lecz tylko gęś. Żydowska, trochę niestrawna gęś. A z półmiska żydowskiego karmiło się duszę.

W każdym razie zbyt długo tragiczność pogłębia się groteską. Czas wziąć się do roboty na serjo, z myślą nie o swoich karjerach, lecz o jedności narodu wobec grożących mu niebezpieczeństw.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

Sprawa sowieckiego numeru „Płomyka" wywołała dużą dyskusję na łamach prasy. I słusznie: p. minister spraw wewn. rysuje plastycznie w swojej mowie sejmowej wizję niebezpieczeństwa komunistycznego, p. generalny inspektor sił zbrojnych Rzeczypospolitej mówi pięknie o idei żołnierskiej, w jakiej winna być wychowywana młodzież już od pierwszych dni swego dzieciństwa, a jednocześnie „Płomyk", pisemko wydawane przez Związek Nauczycielstwa polskiego, faworyzowane przez Ministerjum W. R. i O. P., — suggestywnym listem „pioniera" sowieckiego do skauta sowieckiego „Dżeka" wywołuje tęsknotę (jak słusznie zauważył komunikat K.A.P) do ustroju panującego za naszą wschodnią granicą.

Oto rozbieżność metod, oto przykład, iż „nie wie prawica co czyni lewica..." A wiedzieć musi. Koniecznie.

„Warszawski Dziennik Narodowy" w numerze z dnia 17-go b. m. pisze: „Nie przypuszczamy, by Zw. Naucz. Polskiego, wydawca tego pisma, z całą świadomością wśród dzieci szkolnych szerzył sympatje do komunistycznego ustroju". Ocena to — przyznajmy — wielce kurtuazyjna... Wartoby wszakże z okazji kompromitującego numeru spojrzeć Związkowi Nauczycielstwa Polskiego prosto w oczy. Sprawa jest poważna.

Odnosi się wrażenie, że wśród wydawców „Płomyka" (jakiego?) nie wywołała konfiskata agitacyjnego numeru zbytniej konsternacji. Dobrze są widocznie osadzeni w swem siodle. Redakcja skolei, z całym cynizmem wydała numer poświęcony pamięci marszałka Piłsudskiego.

Wydaje się nam, iż właśnie koła te, dla których pamięć ta jest czemś najdroższem, winne na tego rodzaju metody i sposoby odpowiednio zareagować. Czy zareagują?

Ano — Czekajmy.

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W krakowskim teatrze im. Słowackiego odbył się uroczysty wieczór ku czci Karola Huberta Rostworowskiego, z powodu 25-lecia jego działalności dramatycznej. Teatr wypełniony był do ostatniego miejsca, a nastrój wśród publiczności — niezwykle uroczysty. Na przedstawienie przybył J. E. ks. metropolita Sapieha. Po podniesieniu kurtyny wszedł na scenę reżyser teatru Karbowski i wygłosił prolog pióra L. K. Morstina. Następnie rozpoczęło się przedstawienie „Judasza z Kariotu" K. H. Rostworowskiego z Ludwikiem Solskim w roli tytułowej.

Po przedstawieniu w loży teatru p. wojewoda Kazimierz Świtalski udekorował K. H. Rostworowskiego złotym Krzyżem zasługi. Na scenie zebrali się członkowie dyrekcji teatru, artyści teatralni, członkowie Związku literatów polskich. Gdy na scenę wszedł K. H. Rostworowski, publiczność powstała z miejsc i długo oklaskiwała go.

Szereg przemówień rozpoczął naczelnik wydziału sztuki przy ministerjum W. R. i O. P., p. Władysław Zawistowski. List z życzeniami, nadesłany przez prezydenta m. Krakowa odczytał p. Aleksander Gałuszka, jak również adres zarządu miasta, do którego dołączona była teka z miedziorytami, przedstawiającemi stary Kraków. W imieniu Polskiej Akademji Literatury przemawiał Jerzy Szaniawski, w imieniu komisji teatralnej prof. K. Kumaniecki, w imieniu dyrekcji teatru prof. Karol Frycz, w imieniu Związku literatów polskich w Krakowie p. Tadeusz Kudliński, w imieniu artystów teatru im. Słowackiego reżyser p. Karbowski.

Pierwszy wręczył jubilatowi wieniec z własnym portretem Ludwik Solski, przyjaciel jubilata i odtwórca wszystkich większych ról w jego sztukach. Następnie p. Bolesław Pochmarski, kierownik literacki teatru, odczytał kilkadziesiąt listów i depesz z życzeniami, między innemi od J. E. arcybiskupa Teodorowicza ze Lwowa.

Na życzenia te odpowiedział serdecznem przemówieniem jubilat, oklaskiwany owacyjnie przez publiczność.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ostatnia część trylogji Karola Čapka, „Zwyczajne życie" (Przełożył z czeskiego Paweł Hulka-Laskowski. Warszawa 1935 Wydawnictwo J. Przeworskiego, sty. 235) pozornie tylko, tak, jak jest „Meteor" i „Hordubal", nie wiąże się z pozostałemi. W istocie potrzeba było pisarzowi tak różnorakiego materjału dla unaocznienia jedności życia, nie ginącej z oczu w wielkobarwnej wielości zjawisk.

Metodę konfrontowania kilku relacyj tego samego wydarzenia, stosowaną z powodzeniem w dwu pierwszych częściach trylogji, zastąpił autor „Zwyczajnego życia" dokładnym rachunkiem sumienia, zrobionym jakby w obliczu zbliżającego się końca... Ot, ni mniej ni więcej, mozolny trud zestawienia bilansu całego życia, nie zadowalający się sumami globalnemi, ale z bolesnym uporem szukający pozycyj szczegółowych.

Zdawałoby się napozór, że szkoda zachodu dla tego żywota, takiego jakich tysiąc — no, w każdym razie nic wybitnego. Co innego zupełnie życiorys jakiegoś sławnego człowieka, choćby zełgany później przez nadwornych chwalków od a do zet. Tymczasem i historja przeciętnego zawiadowcy stacji na kolei, służbisty i pedanta, a przedewszystkiem, co się zowie „porządnego człowieka", będzie uzupełniona szeregiem nieoczekiwanych wprost aspektów.

Domyślaliśmy się potrosze, że ów poczciwiec z zapadłej stacyjki za towarzysza miał wewnątrz swej jaźni drugiego ja, takiego z mocnemi łokciami, co mu dopomógł przepchać się przez życie. Większą już niespodzianką staje się trzecie zdarzenie, zdarzenie hipochondryka, tłumaczące jednak dopiero ostrożny i nieśmiały, od dziecka począwszy, styl życia „nieznanego kolejarza" (ten epitet najlepiej doń będzie pasował). To byłoby trzy, jeśli się tak można wyrazić, redakcje tego samego żywota, dla najbliższych bohatera, w pierwszym rzędzie dla jego żony. Następnie przybywa jeszcze jedna postać, której zadaniem, przez swój romantyzm w dniu powszednim, osładzać obrzydłą dolę hipochondrykowi. Ale o tych wybrykach fantazji, czasem dziwacznych rojeniach jowiszowego dla podwładnych pana zawiadowcy nie wie ani żona, trzeźwa nad wyraz Niemka, ani tembardziej personel stacyjny.

Nie bez *schadenfreude* odnajdujemy w „żywocie człowieka poczciwego" i mroki chemisfery: plugawe i wzgardzone przez tamtych życie. A na bój z tym potworem, żądzą zniszczenia, kwintensencją zła wychodził, jak anioł skrzydlaty, poeta z Bożej łaski. Bo i taką przygodę, jeszcze jeden fragment „zwyczajnego życia", odnajduje skrupulatny registrator własnej „nienagannej przeszłości urzędniczej". Inna rzecz, czy poeta zdołał pokonać to, co było nieodkupione w owym tłumie, zalegającym przybytek, pospolicie jaźnią zwany? Najpewniej, nic z niebieskim gościem nie chciało mieć wspólnego to wszystko, co w porządnie ułożonem życiu zawiadowcy pracowitem było i przez cały świat uznanem.

Patrjotyczny epizod wojennej akcji na rzecz ententy: blokowanie przez czeskich kolejarzy stacyj dla transportów austryjackich, wysiłek w całem tego słowa znaczeniu społeczny, zbiorowy mało miał chyba wspólnego z najgłębszem ja kronikarza duszy: wrodzona mizantropja pierzchnęła tutaj pod ciepłem i silnem tchnieniem żywiołowego uczucia braterstwa broni w obliczu nieprzyjaciela. A wreszcie ósmy żywot, zgoła już nędzny i poszarpany strzęp, żałosne pragnienie krzywdy, chęć stania się samotnym biedaczyną, zapomnianym przez świat cały, w dzieciństwie niekiedy realizowana.

A więc osiem żywotów, osiem osób dramatu, rozgrywającego się nieodmiennie w łonie nawet najbardziej szarej, codziennej psychiki. Ten tłum, poruszający się raz w jedną to znów w drugą stronę, zależnie od siły naczelnego ja, kreacji kierowniczej, to tajemnica zainteresowania człeka dla swego, choćby najuboższego duchem, bliźniego, albowiem *„nihil humani a me alienum puto"*. Temci więcej, że persony na scenie duszy, niesforne napozór, poruszają się przecież, nie psując jedności wyrazu duchowego, oczekiwanego w danym momencie. Rodzaj tej jedni zbliża

też nas wszystkim do siebie. Może to będzie właśnie ów nieśmiertelny, nadrzędny pierwiastek, zestrajający przypadkowe i przemijające elementy, a dla którego jednością dopiero — ta, z której się począł — Bóg sam...?

Wartościową, wysoko artystyczną książkę Čapka świetnie na język polski przełożył Paweł Hulka-Laskowski.

(ST. J.)

MUZYKA

KONSERWATORJUM — Lucyna Robowska należy do imponującego typu entuzjastek. Jej stosunek do twórczości polskiej jest przejawem pieczołowitości, powiedziałbym nawet — tkliwości iście kobiecej w połączeniu z dumą i radością. Gdy gra nieznane utwory młodych kompozytorów, czy niepamięta zapomnianych twórców, wyczuwamy jakby jakąś opiekę i szczery wyrzut pod adresem wszystkich a przytem pełne zadowolenie ze spełnianego zadania. To też koncerty znanej pianistki odbiegają daleko od szablonu zwykłych codziennych koncertów. Nie mamy tu wysiłku ukazania przedewszystkiem siebie w jaknajlepszem świetle, ale przejaw służby publicznej. Lucyna Robowska grając spełnia zadanie dyktowane wewnętrznym nakazem. Przypomina naszą sztukę i uczy. Służba taka wymaga wiele poświęcenia. Przecież zasób swojej wiedzy, dużej techniki, mogłaby artystka wyzyskać w inny, bardziej efektowny sposób, aniżeli np. grając nieporadne próby kompozytorskie któregoś z młodych. Mogłaby, a jednak... Ale też — przyznać trzeba, że ogół umie ocenić pracę i cel piękny artystki. Wieczór środowy, dnia 11-go marca stał widokiem rzadko spotykanej owacji.

Program rozpoczął wykonany po raz pierwszy i pozostający dotąd w rękopisie polonez op. 26 nr. 1 Romana Statkowskiego a następnie warjacje Eugenjusza Pankiewicza, któremu dobrze, że chociaż w części i chociaż po śmierci naprawiono krzywdę, jakiej doznał w przeciągu krótkiego swego życia. Następnie usłyszeliśmy trzy preludja Ludomira Różyckiego z okresu, w którym się jeszcze świetnie zapowiadał i pozwalał rościć nadzieje, które potem, niestety, zawiodły. Następnie preludjum Cylkowa i dwie etiudy Karola Szymanowskiego op. 33, etiudę *g-moll* Aleksandra Wielhorskiego oraz etiudę *g-dur* Melcera. Pierwszą część koncertu kończyła sonata *h-mol* Chopina. Mała uwaga: czwarta jej część: *presto* posiadała jednak za mało dynamiki.

Rigaudon Wiktora Łabuńskiego i *Danse fantastique* Feliksa Łabuńskiego zamykały, jakby dwiema klamrami bardzo ciekawą część wieczoru poświęconą twórczości kobiecej, w której artystka odegrała i swoją, dobrze skonstruowaną *fughette*.

Z pośród utworów Dorabialskiej, Grzegorzewicz-Lachowskiej, Szubertowej i Woyciechowskiej wybił się zdecydowanie na pierwsze miejsce „Marsz pionków" ze suity „Szachy" Ilzy Sternickiej-Niekraszowej. Trudno się było powstrzymać od uczucia szczerego żalu na myśl o przedwczesnej śmierci tej niewątpliwie nieprzeciętnej kompozytorki.

Przypomnienie jej utworu przez Lucynę Robowską winno zwrócić baczniejszą uwagę na tę ciekawą twórczość niedość jeszcze znaną i niedość cenioną. Groteskowy charakter „Szachów" aż się doprasza inscenizacji teatru. Może się kiedy i tego doczeka. Czekajmy więc. Jak na tyle innych wydarzeń muzycznych, które albo leniwie nadchodzą, albo nasuwają na myśl przysłowie o „nadziei matce..." i t. d. Ostatni ósmy numer „Muzyki Polskiej" zapowiada druk pieśni „Ojcze nasz" nakładem Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej. Cieszymy się i z tego.

Ostatnią część wieczoru poświęcono rozwojowi mazurka w Polsce od Mikulego poprzez Noskowskiego, Niewiadomskiego, Paderewskiego, Kazurę, Friemanna, Brzezińskiego (odegrano wprawdzie krakowiaka ze „Suity polskiej"). Cykl ten był jednym dowodem potężnego wpływu genjuszu Chopinowskiego, któremu ulegali z nabożeństwem wszyscy. Wpływ Chopina zrozumiały jest i nikt się temu zjawisku nie dziwi — irytować może tylko najpośledniejszy rodzaj tego wpływu — naśladownictwo. Silono się na t. zw. narodową nutę (Friemann aż „na szlachecką") a narodowa ta nuta składała się z kautyleny wzoru mistrza, harmonji wzoru mistrza oraz tempa również wzoru mistrza. Sam Chopin był w pokazanem towarzystwie nieobecny, jak również i ten, który był twórcą (wyraźnie: twórcą, a nie naśladowcą) ostatniego stadjum rozwojowego formy mazurka: Karol Szymanowski. Wymieniony w programie szereg nazwisk, co to nie potrafiły wydobyć się z pod panującego kompleksu mógł być dłuższy. Do wiadomości artystki podam nazwisko Czurlanisa, uważającego się w okresie studjów muzycznych w Konserwatorjum warszawskiem za Polaka, a zmarłego w opinji genjalnego malarza współczesnej Litwy. W domu mego ojca znajduje się jego właśnie jeszcze jeden „chopinowski" mazurek. Mazurek ten poświęcił ojcu w okresie przyjaźni, jaka ich łączyła w latach studjów. Ciekawy to jeszcze jeden przyczynek do ustalenia ogromu wpływu Chopina. Należałoby zbadać, o ile metody warszawskiej uczelni muzycznej przyczyniły się do takiego a nie innego rozumienia twórczości chopinowskiej.

Koncert świetnej pianistki, pouczający, mądry koncert wywoływał wiele refleksyj. Długa plejada nazwisk autorów nietylko granych tego wieczoru ale wykonanych na poprzednich koncertach artystki w Polsce i zagranicą uplastyczniała nasz dorobek muzyczny. Szczególnie zaciekawiają nazwiska młode. Cieszymy się też zapowiedzią następnych recitalów.

W. NARUSZ

FILM

RIALTO: „*La maternelle*" („Oskarżam, cię matko"), reż. Jean Benoit, film francuski.

Tytuł polski bardzo głupi i w dodatku orjentuje mylnie, bo nikt tu matki nie oskarża. Ale to już wina naszych kiniarzy, którym słowo: *maternelle* — ochrona, wydało się za mało frapujące. Są w błędzie: znam kilka osób, które właśnie dzięki takiemu „spolszczeniu" tytułu do filmu nie miały zaufania. A jest to jeden z najpiękniejszych utworów filmowych, jakie się widziało w ostatnich czasach. Piękno treści idzie tu w parze z doskonałością formy. Film nie czyni żadnych ustępstw na rzecz niewybrednych upodobań t. zw. publiczki, jest prawdziwem i wzruszającem dziełem sztuki. Aczkolwiek nie brak w nim momentów znakomicie pomyślanych pod względem filmowym, niema tu popisów walorami formalnemi, sztuki dla sztuki samej; doskonałość formy ujawnia się zarazem w powściągliwej dyskrecji jej środków. Ta cecha, oraz klarowność kompozycji świadczą, że film powstał w atmosferze najlepiej zrozumianej sztuki francuskiej.

Zasada, czyniąca z reżysera prawdziwego twórcę, znajduje w „*Maternelle*" najpełniejsze zastosowanie. Odpada tu bowiem pomoc aktora, aktora-„gwiazdy", w którego popisach gry mieści się b. często lwia część filmu. Benoit, świetnie używając montażu, wygrywa treść dziećmi, a nie każe im grać; to znaczy, że w sposób właściwy operuje materjałem aktorskim (jednem z wielu tworzyw filmu), tembardziej właściwy, gdy chodzi o dzieci. Nieraz pozostajemy obojętni wobec filmu, który przesuwa przed nami bogatą, ale nijaką treść plastyczną; w „*Maternelle*" pieczołowitość, z jaką opracowano każdy fragment filmu, czyni w nim rzeczy codzienne i zwykłe nanowo cennemi i godnemi uwagi. Zwykły uśmiech dziecka, dlatego, że z nieomylną trafnością użyto tego efektu w miejscu właściwem, budzi w nas większy oddźwięk wzruszenia, niż wspaniałe popisy wytrawnego aktorstwa. Oszczędność środków, umiejętność zestawień, słowem dobra gospodarka artystyczna dają dziełu sztuki — stwierdzamy to jeszcze raz — większą wymowność, niż bogactwo efektów, nawet niezłych gatunkowo.

Treścią filmu jest miłość do dzieci i teza, że w ochronce nie wystarczy najlepsza opieka, jeśli razem z nią nie da

się dziecku serca. „Niektóre dzieci muszą być kochane, żeby mogły żyć” — mówi w pewnem miejscu ich opiekunka, ubóstwiana przez nie Różyczka (Madelaine Renaud). Wydaje mi się, że wszystkie.

Pozatem film nie ma fabuły i toku akcji w zwykłem tego słowa znaczeniu, a jednak dzięki dobrej kompozycji i logicznej więzi każdej scenki ze scenką następną, nie sprawia tego wrażenia, które dałby rozciągnięty ponad miarę reportaż. W tym światku dziecięcym na pierwszy plan wysunięto 9-letnią dziewczynkę, małą tragiczkę (Paulette Flambert), opuszczone dziecko prostytutki, łaknące miłości. Rozmyślnie wybrano dziewczynkę brzydką (czyż rozkoszne i śliczne „bobasy” nie są zbyt często zabawką dla dorosłych egoistów?), by pokazać przeżycia bardziej od innych upośledzonego dziecka, prawdziwego dziecka, a nie jeszcze jednej ondulowanej, amerykańskiej małpki, w rodzaju Shirley Temple.

Na zakończenie wskażę pewne usterki filmu, lub te jego momenty, które możnaby kwestjonować. Pokazano tu, jak dzieci maszerują do klozetu, a ich opiekunka rozpina im majteczki. Niektórych podobno ta scenka raziła, mnie — nie, gdyż zachowana została proporcja między nią, a innemi, ważniejszemi fragmentami filmu. W życiu małego dziecka, nocniczek, brzuszek, majteczki odgrywają pewną rolę, nie widzę powodu do zgorszenia, że się o tem wspomniało. Natomiast inną scenę uważam za całkiem niepotrzebną. Ojciec jednego z malców, uczęszczających do ochronki, jest robotnikiem pracującym w nocy, więc w dzień załatwia swe obowiązki małżeńskie. Ponieważ ma jedną izbę, wyrzuca w tym czasie dzieci na schody. Najmłodszy bachor nie chce wyjść i krzyczy, że nie chce mieć nowego brata. We francuskim filmie, wykonanym w wyludniającej się Francji, ta scenka, oraz wiążące się z nią, wraz z całym ich sensem, wydają mi się dość podejrzane. Ktoś tu umoczył w tej sprawie swój nie aryjski paluszek.

Inna kwestja może się wydać sporną. Różyczce, opiekunce dzieci, oświadcza się zakochany w niej lekarz z ochronki. Ona go kocha, ale powiada, że nie może opuścić swoich dzieciaków. Na to lekarz, całkiem słusznie—że mogą mieć swoje, własne. Różyczka jednak rezygnuje z małżeństwa i decyduje się ostatecznie pozostać w ochronce nazawsze. Bardzo to wszystko pięknie, ale przeznaczeniem kobiety jest: mieć i wychowywać przedewszystkiem własne dzieci. Gdy tych niema, lub mieć nie może, wtedy niech oddaje swe serce cudzym. Przecież miłość Róży do dzieci z ochronki odgrywała u niej, jako kobiety, rolę zastępczą i była właśnie dowodem jej instynktu macierzyńskiego.

Rozmyślnie omówiłem, obszerniej niż zazwyczaj, te usterki „*Maternelle*”, gdyż piękny ten i wartościowy film na to zasługuje. Polecamy go czytelnikom „Myśli” do obejrzenia.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. ADAM PRZYBOROWSKI

W DNIU 8-ym marca r. b. rozstał się z tym światem ś. p. doktór medycyny Adam Przyborowski w wieku lat 76.

Urodzony w Poznaniu, nauki gimnazjalne oraz uniwersyteckie pobierał w Warszawie i tu na terenie stolicy życie Jego było zarysowane czynami pracy zawodowej i społecznej nad wyraz dodatniemi.

Ś. p. Adam Przyborowski zawodowo pracował jako wzięty chirurg i miał ku temu pełne kwalifikacje.

Na początku swego zawodu w ciągu trzech lat pełnił na Uniwersytecie Warszawskim (wtedy rosyjskim) obowiązki prosektora przy katedrze chirurgji operacyjnej i anatomji topograficznej; następnie — ordynatora nadetatowego kliniki chirurgicznej uniwersyteckiej wydziałowej (3 lata), a w końcu w ciągu całego szeregu lat takież obowiązki w klinice chirurgicznej szpitalnej w szpitalu św. Ducha.

Na obu powyższych klinikach uniwersyteckich za przewodnika i kierownika miał ś. p. zmarły jednego ze znakomitszych chirurgów polskich, ś. p. profesora Uniwersytetu Juljana Kosińskiego, cieszącego się nadto w owym czasie w Warszawie wielką popularnością i rozległą praktyką lekarską.

Jako wykwalifikowany więc chirurg i uczeń najznakomitszej, w owym czasie, szkoły chirurgicznej w Polsce otwiera ś. p. Adam Przyborowski swoją własną placówkę leczniczo-chirurgiczną, czyli Chirurgiczny Dom Zdrowia na Sewerynowie pod nr. 5. Zakład ów, z pedanterją urządzony podług najnowszych wymagań ówczesnej hygjeny i nauki, był godzien swego dyrektora, a dyrektor swego zakładu; czyli inaczej Zakład ze swym Dyrektorem jakby się prześcigali w stosowaniu pomocy lekarskiej oraz uprzyjemnianiu chorym przezwyciężenia i przebycia ich dni cierpień oraz pochodzących stąd załamań życiowych.

Zaznaczyć należy tę niezwykłą cechę dla chirurga, a tak bardzo pożądaną, jaką posiadał ś. p. Adam Przyborowski, a mianowicie miękkość i subtelność w odczuwaniu ludzkiej psychiki i stąd pochodzącego nader delikatnego i ujmującego sposobu bycia i obcowania z chorymi.

W wyniku ogólnym nóż chirurga ś. p. Adama Przyborowskiego nie był zbyt bolesny, a jego zakład leczniczy pozostawał w pamięci licznej rzeszy chorych jako dalszy dom rodzinny. A stosunki zawiązane w lecznicy z chorymi pozostawały bliskiemi na całe życie.

Niestety Wojna Światowa, a potem zaszłe wprost nieprzewidziane powikłania nasze ustrojowe i społeczne zniosły i tę, jak wiele innych, pożyteczną nader placówkę. Ś. p. Adam Przyborowski, urodzony w Poznaniu, jakby przyniósł z sobą do Warszawy kulturę prawdziwie polską i europejską.

Kto bliżej znał ś. p. Zmarłego, musiał stwierdzić niezbicie, że to człowiek Zachodu, o kulturze starej i mocno ugruntowanej.

Oprócz rozległej erudycji lekarskiej, kierunki duchowe i artystyczne Europy współczesnej nie były mu obce, a przytem czerpał często i dopełniał swój pokarm duchowy z licznych wycieczek zagranicę, zwłaszcza do Włoch, do Francji a nawet do Afryki.

Zawsze spokojny i opanowany, zawsze delikatny, uprzejmy i uczynny, nigdy nie spieszył z zaznaczeniem swego stanowiska, gdy wygłaszał swe zdanie lub pogląd, to czynił to wyraźnie z zaznaczeniem mocnego swego wewnętrznego przekonania.

Gdy dodamy, że zwykle był pedantem w pracy i przyjętych na się obowiązkach, zrozumieć łatwo wtedy, dlaczego ś. p. A. Przyborowski był tak ceniony w rozmaitych instytucjach pracy społecznej.

Polak w każdym calu swej istoty, kochający swój kraj, dla niego zawsze i szczerze ofiarny, oddawna gorliwy członek Stronnictwa Narodowego stale brał czynny udział w życiu i poczynaniach tej rdzennej części naszego społeczeństwa oraz w najpoważniejszych instytucjach lekarskich.

Był więc prezesem Stowarzyszenia Lekarzy Polskich, a następnie w uznaniu zasług powołany na honorowego członka tej organizacji. Również był naczelnikiem Izby Lekarskiej Warszawsko-Białostockiej, wiceprezesem Francusko-Polskiego Towarzystwa Lekarskiego oraz delegatem długoletnim do Międzynarodowego Stowarzyszenia Zawodowego Lekarskiego (A. D. I. M.)

Młodzież lekarska polska miała w Zmarłym gorącego orędownika, popierał on bowiem razem z innymi t. zw. „Koło Medyków” w uniwersytecie warszawskim.

Szlachetna, rozumna i czysto polska postać ś. p. Zmarłego przechowa się długo w pamięci pozostałych.

SZCZĘSNY BRONOWSKI

ERRATUM. W Artykule „Ludzie czy bogowie” p. Stefana Godlewskiego, zamieszczonym w Nr. 11 „Myśli Narodowej” zdarzyła się przykra omyłka drukarska, zmieniająca sens wywodów autora. Na stronicy 166 w drugiej szpalcie, w wierszu 34 wydrukowano: „Ale nie zamierzam wcale dowodzić, że Satyry te to ucieleśnione duchy baletowe. Nie wierzę w to”. Powinno być: „Acz wierzę w to”.

POKŁOSIE

NAKRĘCANIE KONJUNKTURY

NASZA oficjalna polityka gospodarcza odżegnywa się jak wiadomo od wszelkiego t. zw. nakręcania konjunktury przy pomocy środków, używanych gdzieindziej ku zwalczaniu kryzysu, a więc zarządzeń z zakresu polityki monetarnej, inflacji kredytów, wielkich robót publicznych i t. p. Istnieje jednak dziedzina, w której takie nakręcanie konjunktury odbywa się i to na skalę niemałą, z poświęcaniem znacznych środków pieniężnych; jest to dziedzina, że się tak wyrazimy, konjunktury „moralnej" dla obozu rządzącego.

Obóz ten rozporządza liczną i dobrze materjalnie zaopatrzoną prasą, ktoś naiwny, a takich przecież nie brak, mógłby wysnuć z tego wniosek, że „konjunktura" na ideje tego obozu jest znakomita, że publiczność tworzy ogonki przed okienkami z prenumeratą, skoro ta prasa tak prosperuje. Czasem jednak odsłoni się jakiś rąbek i ukaże kulisy tego „powodzenia". Niekiedy zawiść konkurujących odłamów tego samego obozu coś nie coś wyjawi o subwencjach, pobieranych przez kolegów, a czasem dokładniej o tem powiedzą akta sądu, gdy już bankructwa dłużej ukrywać się nie da. Więc przyjrzyjmy się temu jak np. nakręcano konjunkturę ideową na Pomorzu.

„Słowo Pomorskie" ogłosiło szczegóły gospodarki w „Pomorskiej Drukarni Rolniczej", której akcje są przeważnie w rękach „Pomorskiej Spółki Wydawniczej" czyli sanacyjnego „Dnia Pomorskiego". Zobaczymy, że jak na prowincjonalne pisemko i prowincjonalną drukarnię gospodarka była pełna rozmachu. A więc:

„Pomorska Drukarnia Rolnicza" czerpała pełną garścią kredyty z Kas Komunalnych i ze Skarbu Państwa drogą przez Bank Gospodarstwa Krajowego — pisze „Słowo Pomorskie". — „Nie potrzebowała dawać na pożyczki żadnych gwarancyj, a jeżeli gwarancje dawała, to tego rodzaju, jak zahypotekowanie 525,000 zł. na nieruchomości o rynkowej wartości 50 do 60,000 zł. Rzecz oczywista, większa część pożyczek zahypotekowanych przepadnie: według obliczeń stracą wszystkie swe pieniądze: Bank Gospodarstwa Krajowego (lamotowa pożyczka). Z. U. P. U., Pomorski Bank Rolniczy i Bank Poznańskiego Ziemstwa Kredytowego. Razem na samych pożyczkach hypotecznych 358,000 zł. i 25,000 dolarów. Z sumy tej kwota 358,000 złotych stanowi pieniądz publiczny!"

„Suma wierzytelności niezahypotekowanych wynosi, jak pisze sam „Dzień Pomorski" zł. 391,000. Jeżeli z masy upadłościowej wydobędzie się jedną trzecią, to będzie pewno wiele. I w tej pozycji główną stanowią znów pieniądze publiczne, jak podatki, ubezpieczenia społeczne itp.

Jak widzimy, to nakręcanie konjunktury ideowej prowadzone było raźnie i kosztowało 750,000 zł. i 25,000 dolarów długu przy bardzo mizernych aktywach. Ale jeszcze trzeba podkreślić wielką bezceremonjalność tego nakręcania. Oto wśród wierzycieli figuruje również Zakł. Ubezp. Prac. Umysł., i to zarówno przez zaległe w bardzo poważnej kwocie wkładki ubezpieczeniowe pracowników, jaki przez bezpośrednio udzieloną pożyczkę. A więc zakład ubezpieczający ludzi pracy od bezrobocia, inwalidztwa i na starość uznał za możliwe i dopuszczalne lokowanie swych funduszów w przedsiębiorstwie politycznem i to tego rodzaju, jakie zwykle popierane jest z wstydliwie ukrywających się funduszów dyspozycyjnych, zwanych w dawnych, choć nie tak bardzo znów dobrych czasach, funduszami gadzinowemi.

Na te rzeczy trzeba zwrócić uwagę zwłaszcza teraz, gdy z mównicy publicznej rzuca się insynuacje o ciemnych źródłach, z jakich rzekomo mają płynąć środki na prace Stronnictwa Narodowego. Oczywista rzecz, że ludzie tego pokroju, tak bezceremonjalnie obchodzący się z groszem publicznym nie mogą sobie już wyobrazić działalności ideowej, bezpłatnej, popieranej z własnej kieszeni. Przyssali się do kasy publicznej i innej postawy już nie mogą zrozumieć.

Tak tedy wydaje się wielkie sumy na owo nakręcanie, beznadziejne zresztą, jak dowodzi los popieranych wydawnictw, przewracających się natychmiast skoro tylko odżywcze źródła funduszu publicznego się zamkną. A dzieje się to w czasach, kiedy nasza bieda, brak środków nietylko paraliżuje ważne funkcje państwa, że wspomnimy choćby o oświacie, ale napawa wielką troską o jego stan obronny.

Organ kół wojskowych, „Polska Zbrojna" podnosi słusznie konieczność wysiłku w celu wzmocnienia naszych możliwości przemysłowych, ważnych ze względu na obronę kraju, i wskazuje na to, że ta sprawa jest zbyt ważna, żeby zostawić ją na niepewną grę inicjatywy prywatnej:

„Złudzeniem i lekkomyślnością byłaby wiara, że może ono (uprzemyłowienie kraju) być dokonane mocą takich czynników, jak wolna gra sił gospodarczych, czy „inicjatywa prywatna", opierająca swą działalność na tak dziś zawodnych kryterjach „normalnej" rentowności. Może ono jedynie być wynikiem świadomej i planowej akcji państwa i społeczeństwa, akcji wspartej na niewzruszonem przeświadczeniu, że uprzemysłowienie Rzeczypospolitej jest koniecznym warunkiem bezpieczeństwa jej granic."

Jeżeli tak jest, to pierwszym chyba warunkiem planowej akcji jest nierozpraszanie i niemarnowanie funduszów na beznadziejne i niepotrzebne przedsiębiorstwa propagandowe, a jeżeli chodzi o wywołanie świadomej akcji społeczeństwa, to też przedewszystkiem należałoby zaniechać narzucania mu gwałtem tego, czego nie chce i przed czem się broni...

Cóż kiedy tam jeden do Sasa, a drugi do lasa. Ustanowiono z wielkim hałasem komisję, która ma badać przedsiębiorstwa państwowe pod kątem widzenia znoszenia t. zw. przerostów etatyzacji. Bardzo pięknie, chociaż coprawda jeszcze nikt u nas nie widział nigdy nic pozytywnego, zdziałanego przez jakąś komisję. Pewno też nasi działacze etatystyczni nie bardzo się przelękli komisji p. Byrki. Ale przynajmniej należało chyba zachować pozory. A tu właśnie w czasie rozpoczęcia prac komisji rozchodzi się wiadomość, że Fundusz Pracy ma zamiar wybudować własną, czy też zakupić jedną z istniejących fabryk... łopat! Będzie więc państwo fabrykowało łopaty. Można by się na to zgodzić, gdyby temi łopatami można było wreszcie wpakować coś do głowy naszej „sanacji" i biurokracji. Ale to jest beznadziejne. Głowy są twarde i zamknięte.

ARGUS

NA MARGINESIE

Wódz żydowski, Ozjasz Thon ostrzega Polskę w „Nowym Dzienniku", że zniesienie uboju rytualnego może być taniem zwycięstwem, które jednak może drogo kosztować. A przechodząc od polityki do *meritum*, opowiada, jak zabijają bydło chamy-goje, a jak żydzi:

„Tam jakiś olbrzym chłop, który z wrodzoną okrutnością wykonywa swój „zawód", a tu rzezak pobożny, skupiony, szepczący słowa benedykcji robi wszystko z dokładnem obliczeniem, ażeby jaknajmniej bólu spowodować stworzeniu Bożemu. Zrozumiałem wtedy, że nawet przy takim akcie, — który wszak sam dla siebie jest czemś niedobrem, okrutnem, bo zabijaniem, — można mówić o dużej mierze łagodności i litości".

O jakże słodko i zaszczytnie jest być zabitym rytualnie! Jak zaś w istocie swej wygląda owa „benedykcja", czytaliście „Tajemnicę Szechity" w numerze poprzednim „Myśli Narodowej"...

*

Senator Jagrym-Maleszewski przerwał w Senacie debaty gospodarcze pełnem głębokiej troski pytaniem: co będzie, jeśli prof. Piccard nie zdecyduje się startować w Polsce na 30 kilometrów w otchłań stratosfery?

Odpowiedziano mu miarodajnie:

— Nie będzie dziury w niebie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.